

# Żak

Miesięcznik Studentów  
Politechniki Wrocławskiej

**DOBRE JEST POKAZAĆ, ŻE ISTNIEJE INNE PODEJŚCIE**

WYWIAD Z MICHAŁEM JELONKIEM

**AUTOSTOPEM PO MARZENIA**

PÓŁROCZNA PODRÓŻ PO AZJI CZ. II

**ZAPOWIADA SIĘ DOBRA PRACA II**



**Rozstrzygnięcie konkursu Wytrop święta na PWr  
fot. Tomasz Łukasik**

To uczucie, kiedy chciałbyś wejść do budynku, ale jesteś choinką i nie jest to takie proste... Obserwujemy zmagania dzielnego drzewa już od wczoraj - będzie przełom? Przekonajcie się sami!



**Autostopem po marzenia – półroczna podróż po Azji  
fot. A. Studzińska, J. Kierwiak**

## OD REDAKCJI...

Drodzy Czytelnicy!

Pomimo różnych akcji popularyzatorskich trudno mówić o szerszym zainteresowaniu rodzimą tradycją. Świat pędzi w zawrotnym tempie; w zdecydowanej większości żyjemy w kulturze miejskiej lub do takiej próbujemy aspirować, a dawne struktury społeczne, więzy sąsiedzkie, kolektywne, nie pełnią już tak istotnej roli. W tej zupełnie odmiennej sytuacji stare formy straciły rację bytu. Kulturę ludu, czy też ludową, zastąpiła kultura popularna, różniąca się od niej diametralnie w swych funkcjach, celach czy nawet użytkownikach. Już prawie nie ma pieśni obrzędowych, śpiewanych przy konkretnych wydarzeniach z życia – jest czysta i indywidualna rozrywka. Celem śpiewu już nie jest przekazywanie archetypicznych opowieści i budowanie wspólnoty, a zarobek wytwórni muzycznych. Wreszcie rzecz smutna: kultura popularna, w przeciwieństwie do dawnej kultury ludowej, nie zaprasza osób w każdym wieku, a wyklucza starszych.

To wszystko już się wydarzyło i nie sposób tego zmienić; nie nawołuję również do negacji czy krytykanctwa. Każda ludzka aktywność bez nowości kamienieje i umiera – nawet tradycja. Jednak chciałbym zauważyć, że warto pamiętać o wartościach już istniejących w naszej rodzimej kulturze: o toposach niesionych głosem ludowej śpiewaczki, o melodii przekazywanej z pokolenia na pokolenie płynącej ze skrzypiec



osiemdziesięcioletniego mistrza, o tancnym kroku, w którym, tak jak mój pradziad, znaleźć mogę spokój i energię.

W utrwaleniu tego całego dziedzictwa niebagatelną rolę pełni nietypowy wynalazek pisma. Bez niego wiele dzieł ustnej tradycji zaginęłoby w ciekawym XX wieku. Kosztem pamięci jest jednak niezmiennosc raz napisanego słowa i zatrzymanie w kadrze przedmiotu opisu, w kadrze dla „tych, co będą żyli po nas”. Również i my, redaktorzy „Żaka”, parmy się słowem pisany i nie tylko poruszamy aktualne tematy lub dzielimy się opiniami, ale i przekazujemy nasze troski przyszłym pokoleniom. U progu osiemnastego roku istnienia „Żaka” mam nadzieję, że jeszcze przez wiele lat kolejni studenci Politechniki Wrocławskiej będą mieli tę niepowtarzalną możliwość.

*Aleksander Spyra*

Miesięcznik Studentów  
Politechniki Wrocławskiej „Żak”  
Wybrzeże Wyspiańskiego 27  
50-370 Wrocław  
Akademik T-3, sala 6  
zak\_pwr@pwr.edu.pl

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń.  
Zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian w materiałach niezamówionych.  
Przedruk materiałów wyłącznie za zgodą.

Wydanie elektroniczne i więcej informacji znajdziesz na:



WWW.ZAK.PWR.EDU.PL



FACEBOOK.COM/ZAK.PWR

## SPIS TREŚCI

STYCZEŃ 2016

### NA POCZĄTEK

- 4 Zakochany jak pijany – Frazeolo VI
- 5 Nowy rok, stare postanowienia

### UCZELNIA

- 6 Studia i... studia
- 7 Jak starać się o pieniądze?

### STUDENT I ŚWIAT

- 8 Zapowiada się dobra praca II, czyli wszystko co musisz wiedzieć o liście motywacyjnym
- 10 W nas jest moc!
- 12 Jak miasto zachęca do czytania książek?
- 13 Zderzenie z miastem i jego rzeczywistością
- 14 Historia Placu Grunwaldzkiego

### PO GODZINACH

- 15 Autostopem po marzenia – półroczna podróż po Azji cz. II
- 18 Kolacja we dwoje, czyli przez żołądek do serca
- 19 Szewska pasja
- 20 Pieniądze okiem współczesnego studenta
- 21 Planeta X

### KULTURA

- 22 „Dobrze jest pokazać, że istnieje trochę inne podejście” - wywiad z Michałem Jelonkiem
- 24 Ciężkie kołędowanie
- 24 Zakochaj się w Hiszpanii

### ROZRYWKA

- 25 Opowieści z KuliNarnii / Zagadki logiczne
- 26 Krzyżówka / Sudoku

#### REDAKTOR NACZELNY

Aleksander Spyra (aleksander.spyra@zak.pwr.edu.pl)

#### ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO

Magdalena Legendziewicz (magdalena.legendziewicz@zak.pwr.edu.pl)  
Aleksandra Mizgala (aleksandra.mizgala@zak.pwr.edu.pl)

#### REDAKTOR WYDANIA

Magdalena Legendziewicz

#### FOTO

Paulina Napierała, Michalina Kacperak

#### OKŁADKA

Izabela Retka

#### SKŁAD I ŁAMANIE

Filip Lenarcik

#### REDAKCJA

Ksenia Kuchta, Magdalena Legendziewicz, Paulina Napierała, Małgorzata Napierała, Aleksandra Palecka, Krzysztof Papierniak, Petronela Pawlisz, Aleksandra Pędziwiatr, Mateusz Pyzik, Anna Raczyńska, Angelika Radzińska, Michał Sierszulski, Justyna Sołtys, Aleksandra Sójka, Aleksander Spyra, Marta Ulatowska, Joanna Maria Więckowska

#### GRAFIKA

Aleksandra Pędziwiatr

#### KOREKTA

Eliza Bandzwotek, Filip Czaja, Agata Gruca, Paweł Hajduczenia, Aleksandra Palecka, Anna Raczyńska, Dagmara Rybak, Justyna Sołtys, Aleksander Spyra, Kinga Smuś, Katarzyna Wawrzyniak, Kamila Zielińska

#### PROMOCJA

Klaudia Suszek

# ZAKOCHANY JAK PIJANY

## FRAZEOLO VI

Zbliżają się walentynki, wszędzie pełno serduszek, różyczek i amorków. Sklepy zawstydzone swoim asortymentem zaczerwieńczyły się i bynajmniej nie jest to czerwień buraka, lecz miłości. Jedni upajają się uczuciem, inni alkoholem i nie sposób odróżnić, kto jest pod wpływem promili, a kto – endorfin. Obydwa te stany są wzniosłe, lecz gdy mijają, pozostaje ból głowy, pustka i związki frazeologiczne oczywiście...

Jest wiele analogii między stanem zakochania a upojeniem alkoholowym. W obydwu sytuacjach świat staje się piękniejszy, ludzie bliżsi, a wszelkie ziemskie problemy przestają być poważne. Wokół człowieka unosi się atmosfera etanolu, czy to z wybornego trunku, czy też z tanich perfum. Nadchodzące walentynki to dobra okazja, by wy tłumaczyć kilka frazeologizmów miłosnych oraz tych określających stan nietrzeźwości. Bo nieważne, czy człowiek pijany w sztok, czy zakochany po uszy, i tak ma maślane oczy, nie zachowuje się racjonalnie i bredzi jak gdyby miał gorączkę.

### SERCE JAKO SYMBOL MIŁOŚCI

Frazeologicznie można nim kochać, może zostać złamane i można kogoś w nim mieć, ale z medycznego punktu widzenia serce to tylko pompa, a nie skrzynia, w której trzyma się uczucia i gorzkie żale. Już w starożytnym Egipcie było uznawane za organ odpowiedzialny za uczucia wyższe. Podczas sądu zmarłego serce nieboszczyka kładzione było na wadze, by sprawdzić, czy przeważy piórko bogini Maat, która symbolizowała prawdę. Jeśli serce zmarłego było lżejsze, oznaczało to, że człowiek ten był za życia dobry i uczciwy, jednak jeśli było cięższe, to według wierzeń, ciążyły na nim złe uczynki.

Dlaczego ludzkość mianowała ten organ symbolem miłości? Może dlatego, że w zależności od naszych uczuć zmienia się tempo jego uderzeń? Wzniosłe stany emocjonalne mogą przyspieszyć pracę serca nawet do 135 uderzeń na minutę, niekiedy

prowadzą do zawału, a przy doznaniu uczucia ulgi praca serca zwalnia, dzięki czemu czujemy odprężenie określane jako kamień, który spadł z serca.

Jak wiadomo, ludzki organ pompujący krew wcale nie przypomina symbolicznego symetrycznego serca z kartki walentynkowej. Istnieją teorie, że znany nam dziś charakterystyczny kształt jest upiękuszonym, a więc niezbyt wiernym, odwzorowaniem krowiego serca, które w dawnych czasach było o wiele częściej oglądane przez ludzi niż ludzkie. Inna

wieloodcinkowych seriali telewizyjnych lub radiowych, zazwyczaj opowiadających o miłości – bo jaki inny temat można ciągnąć w nieskończoność? Większość kobiet, zwłaszcza tych zakochanych, uwielbia tego typu produkcje, dlatego jakieś osiemdziesiąt lat temu postanowiono wykorzystać ten fakt. Wszystko zaczęło się w 1933 r., kiedy to podczas popularnego radiowego słuchowiska robiono przerwy, by nadawać reklamy mydła firmy P&G. Inni producenci środków czystości podłapali ten sprytny

chwyt marketingowy i również zaczęli nadawać reklamy w trakcie takich wieloodcinkowych seriali, których odbiorcami były przecież kobiety – panie domu, dbające o czystość, robiące zakupy, wręcz koneserki środków czystości! Zatem dość ironiczne określenie opera mydlana nawiązuje do mydlanego charakteru reklam, jakie przerywały lub nadal przerywają tego typu produkcje.



FOT. MAGDALENA LEGENDZIEWICZ

hipoteza mówi o tym, że symetryczny kształt jest nawiązaniem do symbolu bogini miłości Afrodyty, czyli gołębia w trakcie lotu.

Jeśli jesteś człowiekiem wrażliwym na krzywdę innych i pomocnym, to masz dobre serce – oczywiście frazeologicznie, a medycznie dobre serce to 6 litrów i 70 uderzeń na minutę – prawdziwy okaz zdrowia. Tak samo sprawy sercowe: dla jednych wiążą się z uczuciami, dla innych z kardiologią, a dla jeszcze innych z biznesem...

OPERA MYDLANA, CZYLI JAK ZROBIĆ BIZNES NA MIŁOSNYCH HISTORIACH  
*Opera mydlana* to określenie

MAŚLANE OCZY MASZ, KOMU JE DASZ? Kiedy czujesz do kogoś miętę – robisz do niego maślane oczy, trzepoczesz rzęsami i masz motylki w brzuchu. Jak wyglądają maślane oczy? Bynajmniej nie są żółte – wszak zakochanie to nie żółtaczką. Są natomiast duże i błyszczą się, jakby je ktoś posmarował masełkiem. Skąd ten blask w oczach na widok ukochanej osoby? Za ten spektakularny efekt odpowiedzialne są gruczoły łzowe, które wytwarzają wydzielinę na powierzchni oczu osoby znajdującej się pod wpływem silnych emocji. Zakochane oczy są też wyraźnie powiększone – rozszerzają się źrenice, a to

za sprawą mięśni autonomicznych, nad którymi nie mamy świadomej kontroli. O ile w przypadku zakochanych takie powiększone źrenice mogą być atutem i dodawać atrakcyjności, to w przypadku graczy pokera są kłopotliwe. Po zobaczeniu dobrej karty pokerzysta odczuwa ekscytację, na skutek której wkraczają w akcje wspomniane mięśnie. Wystarczy obserwować oczy niedoświadczonego gracza, by wiedzieć, czy wpadła mu dobra karta. Inaczej jest w przypadku doświadczonych pokerzystów, którzy potrafią panować nad ekscytacją i zachować tak zwany *poker face* – oni już takich pięknych oczu nie mają. W końcu nie bez powodu mówi się, że kto ma szczęście w kartach, ten nie ma szczęścia w miłości.

#### O ZALOTACH SŁÓW KILKA

*Smalić do kogoś cholewki* to obecnie bardzo rzadko spotykany frazeologizm. Wyrażenie pochodzi z dawnych czasów, gdy kawaler wybierający się na spotkanie z panną stroił się w najlepsze ubrania i smalił buty, czyli opalał je z wierzchu ogniem tak, by przybrały ciemniejszą barwę. Bardzo podobne znaczenie ma związek *stroić do kogoś koperczaki*, czyli

‘zalecać się do kogoś’. Koperczaki to w znaczeniu potocznym ‘zaloty, umizgi’, natomiast dosłownie ‘koziołki, podskoki’. W sumie to by się zgadzało, bo taki zalotnik niekiedy musi się niezłe nagimnastykować, by zdobyć swoją miłość. Jako ciekawostkę wspomnę jeszcze o niemieckim frajerze, czyli słowie *Freier*, co oznacza ‘konkurent do ręki ukochanej’. Ach ci Niemcy – cyniczni nawet w takich sprawach...

#### PIJANY JAK...

Zakochanym można być po uszy, na zabój lub bez pamięci. Dla nietrzeźwych o wysokim poziomie zaawansowania tegoż stanu też znalazło się kilka porównań w polskiej frazeologii. W większości nawiązują one do sposobu przemieszczania się pijanych ludzi, kiedy podłoga staje się agresywna, a grawitacja zaczyna płać figle. Przykładem takiego wyrażenia jest *pijany jak bela*, które porównuje bardzo nietrzeźwego człowieka do ciężkiej, poruszającej się ruchem półkolistym beli materiału; stąd też inny frazeologizm – *zataczać się jak bela*. Nie jest to jedyne wytłumaczenie – wiele źródeł wskazuje na nieco inną etymologię powiedzenia z zastrzeżeniem innego zapisu, bo: *pijany jak Béla*. Mowa

tu o królu Węgier i Chorwacji Béli II Ślepym, który podobno większą część swojego życia spędził w stanie upojenia, bynajmniej nie miłosnego...

Nie tylko rządzący lubią sobie wypić, przecież aptekarz też człowiek! Kolejny frazeologizm, któremu przypisywać można dwie odmienne etymologie, to *pijany w Sztok* lub *w sztok*. Pierwsza forma odnosi się do Michała Sztoka (1725-1810), lublińskiego aptekarza, który zasłynął dzięki produkcji – podobno – wyśmienitych i bardzo mocnych trunków. Sztokowi bardzo zależało na tym, by jego napoje wysokowe były najlepszej jakości, dlatego też każdego dnia kontrolował ich smak i moc. Spotkanie pana Sztoka trzeźwego po godzinach jego pracy było rzadkością. To niesamowite poświęcenie sprawiło, że zyskał miano pijaka sławionego i na jego cześć powstał frazeologizm *pijany w Sztok*. Mniej ciekawa teoria pochodzenia tego związku frazeologicznego głosi, że *pijany w sztok* to zapożyczenie z niemieckiego *stockbetrunken* – ‘pijany jak kij’. Co kij ma wspólnego z podchmielonym biesiadnikiem? Może to, że nie ustoi na jednej nóżce? ■

Magdalena Legendziewicz

## NOWY ROK, STARE POSTANOWIENIA

Historia lubi się powtarzać. Przekonujemy się o tym w każdą sylwestrową noc, gdy na chwilę przed północą tworzymy listę noworocznych postanowień. Z zapartym tchem wpatrujemy się we wskazówki zegara, bo oto nadchodzi nowy początek. Wszystko, co wydarzyło się w kończącym się roku, oddzielamy grubą kreską i zaczynamy z czystą kartą. Pragniemy jedynie, aby to, co na nas czeka, było lepsze od tego, co spotkało nas do tej pory.

Każdą zmianę w życiu należy zaplanować, jednak naiwne jest myślenie, że Sylwester to odpowiednia pora. Żyjemy już wieczorną imprezą lub, co gorsza, spisujemy postanowienia w stanie upojenia alkoholowego. Niewielu ludzi dotrzymuje danego sobie słowa. Dlaczego? Często lista jest po prostu zbyt długa, a poszczególne punkty prawie niemożliwe do wykonania. Chcemy zbyt wiele i zbyt szybko. Zamiast skupić się po kolei na mniejszych problemach, postanawiamy przeprowadzić życiową rewolucję, skazaną z góry na porażkę. Jest to jednak tylko moja subiektywna opinia, dlatego postanowiłam posłuchać, co na ten temat mają do powiedzenia inni studenci, nie tylko PWr.

#### BEZSENSOWNE PRÓBY

Wiele osób zgodnie stwierdziło, że robienie postanowień z okazji nowego roku jest bez sensu.

– Zwykle kończy się tylko na zamiarze, mamy ogromne plany, z których nic nie wynika. Łudzimy się, że w tym roku będzie inaczej i wszystko się uda, co poprawia nam humor, ale jest to tylko chwilowa radość. Dopiero później dociera do nas, jak absurdalnie długą listę stworzyliśmy – wyjaśnia jedna ze studentek Wydziału Chemicznego. Zdecydowanie brakuje nam silnej woli, zbyt szybko się poddajemy, bo bierzemy na siebie za dużo. Następny rok skończy się dokładnie tak jak poprzedni i po raz kolejny

w noc sylwestrową spisujemy dokładnie tę samą listę.

#### MOTYWACJA DO DZIAŁANIA

Byłam w błędzie twierdząc, że moje zdanie na temat postanowień jest jedynym słusznym.

– Wielu osobom zrobienie takiej listy pomaga, bo motywuje ona do zmian. Jeżeli jest cokolwiek, co może pomóc w osiągnięciu celu, to oczywiście trzeba po to sięgnąć – wyjaśnia studentka czwartego roku. Być może znajdzie się wiele osób, którym udaje się wypełnić wszystko lub chociaż część z tego, co postanowią. W tym miejscu chcę im serdecznie pogratulować, bo zdają sobie sprawę, ile wysiłku muszą w te zmiany wkładać.

W TYM ROKU ZNAJDĘ MĘŻA!

Kto nigdy nie robił noworocznych planów, niech podniesie rękę. Większość z nas ulega modzie na postanowienia i dzieli się tą radosną nowiną w ogólnodostępnym portalu, jakim jest Facebook. Można dołączyć do niezliczonych wydarzeń, których nazwy zaczynają się słowami: „W 2017...”. Niektóre z nich są naprawdę absurdalne.

– To, czy weźmiemy udział w wydarzeniu, czy nie, nie zmieni naszego aktualnego położenia. Może tylko zwiększyć presję otoczenia, bo każdy znajomy będzie wiedział, co planujemy. Nawet jeżeli samemu zapomni się o danym postanowieniu, to z pewnością znajdą się osoby, które przypomną nam o nim na koniec roku – tłumaczy studentka.

ZMIANA NASTAWIENIA KLUCZEM DO SUKCESU

Mamy tysiąc wymówek, byle tylko czegoś nie zrobić. Obiecujemy sobie, że zaczniemy się systematycznie uczyć, szybko jednak okazuje się, że zbliża się koniec semestru i na

systematyczność jest o trzy miesiące za późno, a widmo nadchodzącej sesji już puka do naszych drzwi.

Inną obietnicą, którą sami sobie składamy, jest bycie fit. Niestety, mama już pomroziła dla nas świąteczne smakołyki i nie możemy pozwolić, żeby się zmarnowały; poza tym na siłownię jest za zimno, jeszcze się przeziębimy. Chcemy mniej narzekać, ale jak to zrobić, kiedy w Nowy Rok niemiłosiernie boli nas głowa, a słońce świeci tak jasno? Wymówki to najgorszy wróg noworocznych postanowień. Skoro umiemy znaleźć powody, żeby nic nie zmieniać, to na pewno znajdą się też takie, które zmuszą nas do działania. Kto nie chciałby spokojnie podejść do sesji z usystematyzowaną wcześniej wiedzą czy wyglądać jak gwiazdy z okładki „Be Active”? Zamiast wmawiać sobie, że nie da się rady, trzeba uwierzyć w siebie, a każdą trudność traktować jako nowe wyzwanie, któremu musimy sprostać.

CZEKAJĄC NA ODPOWIEDNI MOMENT  
Nowy rok to idealny czas na zmiany: zaczynamy kolejny rozdział życia. Jednak znajdzie się pewnie sporo osób, które stwierdzą, że jest to moment równie dobry, jak każdy inny.

– Myślący człowiek zmienia swoje życie, kiedy ono tego wymaga, a nie czeka na jakąś szczególną datę. Nie dla wszystkich postanowienia mają sens, bo nie każdy potrzebuje do szczęścia zmian. Wielu ludzi jest zadowolonych z tego, jacy są i jak ich życie wygląda – twierdzi studentka Wydziału Matematyki. Nie można się z tym stwierdzeniem nie zgodzić. Codziennie powinniśmy stawiać sobie małe cele i próbować je osiągnąć. Będzie to na pewno dużo prostsze niż wykonanie całej listy. Ponadto nie rozczarujemy się na koniec roku, że znów nam się nie udało. Stopniowo będziemy cieszyć się z osiągniętych sukcesów, a o ewentualnych porażkach szybko zapomnimy. ■

Aleksandra Sójka

## STUDIA I... STUDIA

Czy zastanawialiście się, jak to jest studiować na więcej niż jednym kierunku? Łatwo? Trudno? Czasami na jednym fakultecie nielekkko jest przeżyć sesję, a co dopiero na dwóch? A mój czas wolny? Co się z nim stanie? A hobby, a znajomi? Czy ja dam radę? Jak pogodzę tyle zajęć w tygodniu? Będę mieć jeszcze czas na sen i jedzenie? Są tacy, którzy już to sprawdzili. Jakie jest ich zdanie na ten temat? Przeczytajcie!

*Anna, studentka Turystyki i Rekreacji oraz absolwentka Filologii Angielskiej*

**Angelika Radzińska: Dlaczego studiujesz na dwóch kierunkach?**

**Anna:** Ponieważ w przyszłości chciałabym mieć lepiej płatną pracę oraz większą możliwość wyboru wśród ofert zatrudnienia. Poza tym chciałam doskonalić swój angielski, więc zamiast na kurs poszłam na studia, bo więcej można się na nich nauczyć.

**Dlaczego te kierunki?**

Turystyka i rekreacja dlatego, że uwielbiam podróżować. Gdy jestem za granicą, lubię uczyć się języków obcych. Filologię angielską wybrałam, bo uważałam, że same studia z Turystyki i Rekreacji mi nie wystarczą, chciałam mieć możliwość podjęcia pracy za granicą, gdzie wynagrodzenie jest znacznie wyższe. Poza tym zależało mi, żeby swobodnie posługiwać się tym językiem.

**Jak pogodzić studiowanie na więcej niż jednym kierunku?**

Trzeba być zdyscyplinowanym, systematycznym, trzeba na czas przygotowywać się do zajęć oraz oddawać prace w terminie.

Najlepiej zakupić sobie kalendarz i wpisywać w niego daty egzaminów, kolokwium, zjazdów, inaczej można coś przegapić w tym pędzie.

**Co z czasem wolnym?**

W moim przypadku za bardzo go nie było, prawie cały wolny czas przeznaczałam na oglądanie filmów po angielsku, by nauczyć się więcej słówek. Resztę czasu wolnego poświęcałam przyjaciołom i rodzinie.

**A hobby, znajomi?**

Filologia angielska pozostała moim hobby do dziś, mimo że nie studiuje już tego kierunku. Lubię się uczyć nowych słówek. Znajomych zaś można było poznać nowych, na studiach.

**Wady i zalety studiowania na więcej niż jednym kierunku?**

Wady: mało czasu wolnego; zalety: przyspieszony rozwój osobisty.

**Co daje studiowanie na więcej niż jednym kierunku?**

Co najmniej dwa dyplomy, satysfakcję, podziw ze strony innych.

**Polecasz?**

Polecam studiowanie dwóch fakultetów, mimo że czas studiowania na obu kierunkach był bardzo intensywny pod względem nauki. Jednak bardzo dużo się wtedy nauczyłam i do dziś czerpię z tej nauki korzyści.

*Tomek, student Mechatroniki i Informatyki*

**Angelika Radzińska: Dlaczego studiujesz na dwóch kierunkach?**

**Tomek:** Nie do końca byłem przekonany, czy mój pierwszy kierunek będzie wystarczający, by znaleźć dobrą pracę. Postanowiłem robić coś więcej, choć naturalnie nadal zgodnie z zainteresowaniem.

**Dlaczego te kierunki?**

Szansa na pracę, dobry zarobek, zainteresowania.

**Jak pogodzić studiowanie na więcej niż jednym kierunku?**

Ciężką pracą.

**Co z czasem wolnym?**

Nie dużo, choć wiele zależy od osoby i tego, ile potrzebuje snu.

**A hobby, znajomi?**

Jest czas. Nie za dużo, ale jest.

**Wady i zalety studiowania na więcej niż jednym kierunku?**

Wady: mniej czasu dla siebie. Zmęczenie. Zniechęcenie. Zalety: nauka dyscypliny, ciężkiej pracy, nauka sama w sobie, zwiększenie atrakcyjności rynkowej.

**Co daje studiowanie na więcej niż jednym kierunku?**

Głównie to, co opisałem przy zaletach.

**Polecasz?**

Tak. Polecam też Erasmusa.

*Joanna, studentka Biotechnologii oraz  
Astronomii*

**Angelika Radzińska: Dlaczego studiujesz na dwóch kierunkach?**

**Joanna:** Lubię poznawać świat, a kończąc Biotechnologię i Astronomię poznaję go zarówno w skali mikro, jak i makro. Ponadto astronomia zawsze była moją pasją. Bardzo bym chciała połączyć wszystkie dziedziny, które studiowałam, w mojej przyszłej pracy naukowej.

**Dlaczego te kierunki?**

Biotechnologia – bo jest przyszłościowa, bardzo współczesna i najnowocześniejsza. Pozwała

poznać świat w skali mikro – ten otaczający nas, a także własny organizm. Astronomia – fascynowałam się Wszechświatem i gwiazdami od dziecka. Obserwowałam gwiazdy przez lunetę już w podstawówce, w LO byłam w mat-fizie – wszystko prowadziło mnie do studiów astronomicznych.

**Jak pogodzić studiowanie na więcej niż jednym kierunku?**

Trzeba być bardzo dobrze zorganizowanym i uczyć się na bieżąco ze wszystkich przedmiotów. Co prawda, dzień pracy wydłuża się do kilkunastu godzin – 12 godzin na uczelniach i kolejne na nauce, ale szybki tryb życia sprawia, że człowiek ma więcej energii.

**Co z czasem wolnym?**

Jest, jeśli człowiek dobrze umie planować. Mi udawało się wyjść z kolegami na basen czy do kina, książki czytałam w tramwajach i po nocy. Oczywiście nie jest tak, że miałam czas wolny codziennie i na co chciałam – planowanie musiało być precyzyjne.

**A hobby, znajomi?**

Hmm... W pewnym sensie studiowanie stało się moją pasją i hobby, wciągnęła mnie

i biotechnologia, i astronomia. Ponadto interesuję się fantastyką, więc znajdowałam czas na książki i od czasu do czasu na filmy. Znajomi – z przyjaciółmi widywałam się regularnie, choć krótko. Na rozpoczęcie innych zajęć czy hobby już czasu nie było, na wyjście do pubu czy klubu na noc też bardzo rzadko.

**Wady i zalety studiowania na więcej niż jednym kierunku?**

Wady: bardzo mało czasu dla znajomych i przyjaciół, mało czasu wolnego, nakładające się plany zajęć, kosmiczna sesja obejmująca dwa razy więcej czasu i egzaminów. Zalety: można się bardzo wiele nauczyć, zarówno w zakresie organizacji czasu, jak i własnych słabości i silnych stron; dużo nowopoznanych ludzi i kontaktów, uzupełnianie swojej wiedzy naukowej.

**Co daje studiowanie na więcej niż jednym kierunku?**

Doświadczenie i nowe kontakty.

**Polecasz?**

Tylko jeśli ktoś naprawdę jest pewny, że tego potrzebuje.

*Angelika Radzińska*

# JAK STARAĆ SIĘ O PIENIĄDZE?

## O NOWYM SYSTEMIE FINANSOWANIA DZIAŁALNOŚCI STUDENCKIEJ NA PWR

**Wielokrotnie na łamach naszego miesięcznika opisywaliśmy losy kół naukowych i organizacji działających na Politechnice Wrocławskiej. Zawsze powstają i działają dzięki wspólnym zainteresowaniom i pasji – jednak pasja to nie wszystko. Aby tworzyć wydarzenia, budować roboty, potrzebne są pieniądze. Warto lepiej przyjrzeć się temu trudnemu w naszej kulturze tematowi, zwłaszcza, że system finansowania działalności studenckiej na Politechnice przechodzi gruntowne zmiany.**

Dotychczasowy model przyznawania środków zakładał istnienie Komisji ds. Finansowania Działalności Studenckiej (KFDS). Składała się ona z przedstawicieli uczelni, studentów i doktorantów. O dofinansowanie mogły starać się koła naukowe, organizacje (np. NZS, BEST), agendy kultury (DKF, „Żak”) oraz grupy studentów - jednym zastrzeżeniem było to, że wnioskujący musiał przejść odpowiednie szkolenie. Komisja zbierała się, analizowała projekt i podejmowała w głosowaniu decyzję.

Ten system, oparty na konkursie, w którym konkurują ze sobą wszystkie podmioty, należy już jednak do przeszłości. Jego podstawa prawna – porozumienie pomiędzy uczelnią, Samorządem Studenckim a Radą Doktorantów – została wypowiedziana przez JM Rektora z dniem 1 czerwca 2016 roku. Od tego czasu odbyło się wiele spotkań wszystkich podmiotów studenckich, temat był wielokrotnie dyskutowany,

a wreszcie z końcem listopada rozpoczęły się negocjacje z Prorektorem ds. Studenckich dr. inż. Jackiem Lamperkim. Stronę studencką reprezentowali przedstawiciele Samorządu: Magdalena Grzegorzewska (przewodnicząca WRSS Wydziału Architektury), Filip Ogonowski (Przewodniczący ZPS) oraz Dawid Stanasiuk (członek ZPS ds. aktywności studenckiej) oraz dodatkowo Agnieszka Jasak (SKN Płomień) reprezentująca koła naukowe, Justyna Pelc (Rozwój+) reprezentująca organizacje studenckie oraz niżej podpisany, reprezentujący agendy kultury; w rozmowach uczestniczyli także Kornel Flaga (przewodniczący WRSS Wydziału Mechaniczno-Energetycznego) i Patrycja Kowalek (przewodnicząca Komisji Wyborczej Studentów). Radę Doktorantów reprezentowała Michalina Kotyla. W wyniku długich rozmów wypracowano rozwiązanie na 2017 rok, którego główne założenia są przedstawione poniżej.

**SIEDEMNAŚCIE KOMISJI**

Nowe rozwiązanie zakłada, że zamiast jednej komisji rozpatrującej wnioski o finansowanie powołanych zostanie siedemnaście ciał kolegialnych: Komisja Centralna oraz Komisje Wydziałowe na każdym z szesnastu wydziałów. Motywowane jest to przybliżeniem do kół naukowych organów decydujących o przyznawaniu środków. Trzeba przy tym zauważyć, że pomysł ten angażuje w cały system finansowania o wiele więcej osób niż dotychczas, co z jednej strony może być źródłem problemów, choćby z organizacją czasu członków poszczególnych komisji, ale z drugiej może wpłynąć korzystnie na płynność działania systemu. Warto zaznaczyć, że aby składać wnioski do którejkolwiek komisji, nadal wymagane będzie uczestnictwo w odpowiednim szkoleniu.

Komisje wydziałowe wezmą pod swoje skrzydła gros kół naukowych. Komisja Centralna z kolei będzie przede wszystkim decydować o budżetach organizacji

i agend kultury, jak również będzie organizować konkursy na projekty społeczno-kulturalne, analogicznie do konkursów rozpisanych przez KFDS. Ponadto we wrześniu środki niewykorzystane na wydziałach mają wrócić do wspólnej puli, czyli do Komisji Centralnej, która będzie decydowała o ich podziale.

#### PO PIERWSZE – KOŁA NAUKOWE

Pierwszą gruntowną zmianą jest wprowadzenie pojęcia kół strategicznych. Będą nimi koła naukowe, które są najbardziej aktywne i stanowią niejako wizytówkę Politechniki. Tytuł ten nadany zostanie na początku roku kalendarzowego i będzie się wiązał z innym sposobem rozliczania środków – koła strategiczne będą finansowane na podstawie preliminarza budżetowego i nie będą mogły ubiegać się o dodatkowe środki. O przyznaniu tego tytułu decyduje Komisja Centralna; co więcej, koła te będą się rozliczać przez Dział Studencki.

Pozostałe koła naukowe nadal będą składać wnioski w konkursach organizowanych przez odpowiednie komisje na wydziałach. Dodatkowo z ogólnej kwoty została wyodrębniona osobna część, budżet preinkubacyjny, z którego finansowane mają być projekty nowo powstałych lub reaktywowanych kół naukowych. Dzięki temu rozwiązaniu, mającemu sprzyjać powstawaniu nowych kół naukowych,

wnioski osób dopiero zaczynających działalność nie będą musiały rywalizować z podaniami bardziej doświadczonych studentów. Wnioski o dofinansowanie w ramach budżetu preinkubacyjnego również będą składane w komisjach wydziałowych, jednak ostateczną decyzję będzie podejmowała Komisja Centralna.

#### JAK TO WSZYSTKO PODZIELIĆ?

Zaproponowany sposób podziału środków pomiędzy poszczególne grupy podmiotów studenckich w pierwszej kolejności realizuje uchwałę Senatu, zakładającą, że 50 procent środków przeznaczonych jest na koła naukowe, 27 procent na działalność społeczno-kulturalną organizacji i agend kultury, natomiast pozostałe 23 procent to budżet Samorządu Studenckiego, Rady Doktorantów, rezerwa Prorektora ds. Studenckich oraz koszty obsługi. Decyzje w ramach dwóch ostatnich kategorii należą do Komisji Centralnej. Natomiast w kategorii środków przeznaczonych na działalność naukową 20 procent całości to budżety kół strategicznych, 5 procent to budżet preinkubacyjny, natomiast 25 procent zostanie przekazanych komisjom wydziałowym. Algorytm podziału pomiędzy 16 wydziałów część kwoty rozdziela proporcjonalnie do środków wydanych przez koła naukowe danego wydziału w dwóch

ubiegłych latach (z wyłączeniem kół uznanych za strategiczne), a pozostałą część rozdziela równo pomiędzy wszystkie wydziały.

**SPRAWOZDAWCZOŚĆ, SPRAWOZDAWCZOŚĆ I JESZCZE RAZ SPRAWOZDAWCZOŚĆ**  
Każdy student wydający pieniądze Politechniki będzie musiał się z nich rozliczyć. To dość naturalne i oczywiste spostrzeżenie, jednak praktyka pokazywała, że nie zawsze sprawozdania były dostarczane. Rozwiązaniem tego problemu jest ograniczenie wprowadzone w nowym systemie – podmiot po zakończeniu wydarzenia ma 30 dni na rozliczenie projektu, a jeśli tego nie zrobi, nie może ubiegać się o kolejne środki. Co więcej, znane wnioski S1 przeszły modyfikację – mają być składane przez wszystkie organizacje, agendy, koła naukowe i zawierają pytania o wszystkie podjęte aktywności w ciągu roku.

#### CHCĘ WIEDZIEĆ WIĘCEJ – CO ROBIĆ, JAK ŻYĆ?

Wszystkie dokumenty, na których opiera się wyżej opisany system, będzie można znaleźć na stronach Działu Studenckiego oraz Samorządu Studenckiego. Wszelkie wątpliwości rozwiążą także szkolenia dla osób chcących składać wnioski. ■

Aleksander Spyra

# ZAPOWIADA SIĘ DOBRA PRACA II

## CZYLI WSZYSTKO CO MUSISZ WIEDZIEĆ O LIŚCIE MOTYWACYJNYM

**W ostatnim numerze pisałam o tym, jak stworzyć swoje idealne *curriculum vitae*, które znacznie zwiększy szanse na wymarzone zatrudnienie. Jednakże to dopiero pierwszy krok; kolejnym jest oczywiście list motywacyjny, który – napisany w odpowiedni sposób – będzie furtką do rozmowy kwalifikacyjnej, a następnie do dobrej i satysfakcjonującej pracy.**

Zanim przystąpisz do pisania listu motywacyjnego, zadaj sobie podstawowe i najważniejsze pytania będące esencją dobrego listu motywacyjnego, a mianowicie: dlaczego chcesz pracować w tej firmie, na tym stanowisku i dlaczego pracodawca ma zatrudnić właśnie ciebie.

O ile CV może być w pewnym sensie uniwersalne i zawiera pewne formalne informacje zarówno na temat dotychczasowego życia zawodowego, jak i zainteresowań czy umiejętności, o tyle list za każdym razem musi być od samego początku pisany i dostosowywany konkretnie pod daną firmę i stanowisko. Chodzi o to, aby przekonać pracodawcę, dlaczego to właśnie ty jesteś poszukiwanym kandydatem i co jako pracownik

możesz zaoferować firmie. Całkowicie dyskwalifikujące są listy bazujące na szablonach internetowych, w których tylko nieznacznie zmienia się treść lub też takie, które wyglądają dokładnie tak samo niezależnie od odbiorcy i oferty pracy. Bardzo łatwo jest rozpoznać schematyczny dokument, który od razu przekreśla szansę na zatrudnienie.

Warto również poświęcić trochę czasu na poznanie potencjalnego pracodawcy. Wyszukaj informacje na temat firmy i stanowiska, o które się starasz. Zwróć uwagę na wartości, jakimi przedsiębiorstwo się kieruje.

#### LIST MOTYWACYJNY A CV

Warto tutaj podkreślić, że nie można powtarzać tego, co już napisało się

w *curriculum vitae* – jest to sygnał dla pracodawcy, że albo nie masz już nic innego do zaoferowania, albo nie zależy ci na ofercie na tyle, żeby poświęcić jej trochę czasu i napisać coś przekonującego. List motywacyjny nie ma powielać informacji zawartych w CV, lecz je uzupełniać. Można wspomnieć o awansach i zawodowych sukcesach w kontekście kreacji siebie samego jako idealnego kandydata na dane stanowisko. Zbędne są jednak wszelkie szczegóły dotyczące tego typu faktów – ma być treściwie i przekonująco. Ważne jest też, by podkreślić poszukiwane przez pracodawcę cechy, które często są podane w ogłoszeniu o pracę.



CZEGO NIE PISAĆ W LIŚCIE MOTYWACYJNYM? Na pewno warto pominąć informację, że jesteś zainteresowany daną ofertą. Skoro już wysyłasz aplikację, to chyba samo w sobie jest to informacją, że jesteś zainteresowany, nieprawdaż? List motywacyjny nie jest również prośbą czy wręcz błaganiem o pracę, gdyż firma nie jest niestety instytucją charytatywną.

Częstym błędem jest też podawanie szczegółowego zakresu obowiązków czy umiejętności całkowicie niezwiązanych ze stanowiskiem, gdyż pierwszą z tych informacji umieszcza się w CV, natomiast o zbędnych kwalifikacjach chyba nie muszą dużo mówić.

Kolejną rzeczą jest wyliczanie kompetencji bez konkretnych przykładów, co mija się z celem, gdyż nie tylko nie uwiarygodnia naszych umiejętności, ale też nie zachęca pracodawcy do zaproszenia na rozmowę kwalifikacyjną.

Zachwalanie firmy czy też jej sukcesów również nie jest dobrym pomysłem, wręcz odwrotnie – nieprzekonywującą i zbędną informacją.

Pod żadnym pozorem nie można krytykować byłego pracodawcy ani podawać powodu odejścia czy też zwolnienia. Nie umieszczaj też żadnych innych negatywnych informacji, szczególnie tych działających na twoją niekorzyść, nie tłumacz się z niczego ani nie przeprasza. Nie podawaj także fikcyjnych informacji czy kompetencji, bo można je bardzo łatwo zweryfikować, na przykład podczas rozmowy kwalifikacyjnej.

#### WYSYLAĆ CZY NIE WYSYLAĆ?

Niektóre firmy kładą nacisk na zaangażowanych kandydatów, dlatego proszą o list motywacyjny razem z *curriculum vitae*. W innych jest to kwestia procedur, a bywają też takie, które w ogóle nie wymagają i zazwyczaj nawet nie czytają, kiedy kandydat jednak zdecyduje się taki list przesłać. W przypadku, kiedy starasz się o stanowisko specjalistyczne, gdzie tak naprawdę kluczowe są kwalifikacje merytoryczne, taki dokument przeważnie nie ma znaczenia, dlatego w ogłoszeniu często nie ma nawet o nim wzmianki. Jeżeli jednak pojawia się informacja, że jest mile widziany – nie można jej zignorować.

Jeśli firma jest prestiżowa i wiesz, że

będziesz miał dużą konkurencję – koniecznie napisz list motywacyjny. Może się on okazać przepustką do rozmowy rekrutacyjnej, gdyż reszta kandydatów traci swoją szansę właśnie przez słabo napisany list motywacyjny lub nawet jego brak.

Niestety w większości przypadków kandydaci piszą tego typu listy w oparciu o szablony znalezione w Internecie, które rekrutujący znają już na pamięć, dlatego często niechętnie je otwierają, a co za tym idzie – rzadziej wymagają. Dzieje się tak również dlatego, że kandydaci tak naprawdę nie wiedzą, jak taki list napisać.

1 [ ]

2 [ ]

3 [ ]

4 [ ]

5 [ ]

6 [ ]

7 [ ]

8 [ ]

9 [ ]

10 [ ]

11 [ ]

12 [ ]

13 [ ]

#### WYMOGI FORMALNE

List motywacyjny, tak jak CV, musi być czytelny, uporządkowany i przede wszystkim zwięzły. Nie powinien przekroczyć jednej strony A4; tak jak w przypadku życiorysu – im mniej, tym lepiej. Jeśli dokument nie będzie przejrzysty (na przykład poprzez użycie wyszukanych krojów pisma, dużej liczby kolorów, podkreśleń czy pogrubień), istnieje duże prawdopodobieństwo, że od razu wyląduje w koszu, gdyż zniechęci to rekrutującego. Warto jednak wyłuszczyć najważniejsze informacje lub słowa-klucze. Najlepiej jest zastosować szablon,

którego użyło się do CV – dotyczy to również krojów pisma, odstępów między wierszami etc. Poszczególne informacje powinny być oddzielone akapitami, trzeba też zadbać o interpunkcję, ortografię, gramatykę i stylistykę wypowiedzi. Jeżeli nie jest to twój konik – poproś kogoś obznanego w temacie o małą korektę.

Jeśli chodzi o adresowanie dokumentu – najlepiej pisać do konkretnej osoby, podając również jej stanowisko. Najczęściej jest to oczywiście ktoś z działu rekrutacji, jednak czasem zdarza się, że piszemy bezpośrednio do kogoś wyżej postawionego, na przykład prezesa czy dyrektora.

Jak wspomniałam we wcześniejszym artykule – *Zapowiada się dobra praca, czyli wszystko, co musisz wiedzieć o CV*, trzeba zadbać o odpowiedni adres mailowy, z którego wysyłamy wiadomość, jak również samą jej treść. Należy też pamiętać o odpowiednim formacie i nazwie pliku. Wszystkie te informacje szczegółowo opisałam w poprzednim numerze.

#### PRZYKŁADOWY SCHEMAT

Aby ułatwić odnalezienie się w świecie formalnego wyglądu dokumentu, przygotowałam grafikę wraz z ponumerowanymi polami, co i gdzie powinno się znaleźć.

1. Miejscowość i data.
2. Podstawowe dane osobowe: imię, nazwisko, adres zamieszkania, adres e-mail oraz numer telefonu.
3. Dane adresowe firmy: imię i nazwisko odbiorcy, stanowisko/dział, nazwa firmy oraz adres.
4. Stanowisko, o jakie się ubiegamy, czyli np. „Dot.: (numer referencyjny lub nazwa stanowiska)”.
5. Zwrot grzecznościowy (Szanowna Pani/Szanowny Panie).
6. Wstęp (I akapit) – informacja dotycząca danej oferty i sposobu, w jaki się o niej dowiedziałeś.
7. Rozwinięcie (II akapit) – przedstawienie swoich mocnych stron i konkretnych argumentów potwierdzających twoje umiejętności zawodowe.
8. Rozwinięcie (III akapit) – przedstawienie motywacji do pracy w tej firmie na tym konkretnym stanowisku, zaznaczenie, co możesz jej

zaoferować, oraz przekonanie odbiorcy, dlaczego to właśnie ty powinieneś zostać wybrany spośród wszystkich innych kandydatów.

9. Zakończenie (IV akapit) – wyrażenie chęci i gotowości do spotkania oraz podziękowanie za poświęcony czas.
10. Zwrot grzecznościowy (Z wyrazami szacunku/Łączę wyrazy szacunku).
11. Imię i nazwisko oraz odręczny

podpis lub też jego skan, jeśli dokumenty wysyłamy drogą mailową.

12. Spis załączników.
13. Aktualna klauzula o przetwarzaniu danych osobowych.

#### NA ZAKOŃCZENIE

List motywacyjny to miejsce, aby zaprezentować siebie jako idealnego kandydata na dane stanowisko ukazując zapał do

pracy i obustronne korzyści na linii kandydat-firma. Z pewnością jest on istotnym etapem rekrutacji, jednakże – ku naszemu (nie)szczęściu – nie ostatnim! W następnym numerze napiszę o tym, jak przygotować się do rozmowy kwalifikacyjnej, a później już tylko cieszyć się świetną pracą! ■

*Justyna Soltys*

## W NAS JEST MOC!

**Pod koniec ubiegłego roku studenci Politechniki mieli okazję dołączyć do projektu HELPERS' GENERATION promującego ideę przeszczepów komórek macierzystych i szpiku, który miał miejsce na naszej uczelni od 5 do 11 grudnia. Mimo że ta akcja już za nami, osoby chore na nowotwory krwi wciąż liczą na odnalezienie swoich bliźniaków genetycznych. Może ktoś z nich czeka właśnie na Ciebie?**

HELPERS' GENERATION to projekt organizowany przez fundację DKMS na 41 uczelniach w Polsce, w ramach którego wolontariusze akcji uświadamiają studentów o nowotworach krwi i zachęcają do dołączenia do bazy potencjalnych dawców komórek macierzystych i szpiku. Liderkami akcji przeprowadzanej na Politechnice Wrocławskiej zostały Sylwia Mikosik i Monika Bąk – dwie aktywne studentki, które opowiedziały mi o szczegółach dotyczących zostania dawcą.

#### JAK DOŁĄCZYĆ DO BAZY?

Najlepiej rejestrować się w czasie akcji takich jak HELPERS' GENERATION, kiedy mamy możliwość zadania wolontariuszom wszystkich nurtujących nas pytań. Na wydarzeniach tego typu istnieje też możliwość kontaktu z lekarzem hematologiem, który określa, czy dany student może zostać zarejestrowany. Jeśli stan zdrowia osoby pragnącej zostać dawcą jest trudny do zdiagnozowania na podstawie zadanych pytań, rejestruje się ją, ale jej próbki są pakowane osobno i wysyłane do badań. Dopiero wtedy taka osoba dostaje informację, czy będzie w bazie.

Czym są owe próbki?

– Z racji tego, że nie jesteśmy lekarzami, w trakcie akcji studenckich nie pobieramy próbek krwi – opowiada Sylwia. – Pobieramy wymaz z wewnętrznej strony policzka, a w zasadzie dawca robi to sam – dodaje.

Służą do tego specjalne patyczki z wacikiem, tzw. wymazówki, po jednym na każdą stronę jamy ustnej. Tak uzyskany materiał genetyczny zabezpiecza się w specjalnej kopercie, do której dołączony jest formularz z informacjami

na temat stanu zdrowia kandydata na potencjalnego dawcę. Cały proces pobierania wymazu i uzupełniania kwestionariusza odbywa się pod okiem wolontariuszy akcji, którzy pilnują, aby czynności zostały wykonane prawidłowo.

#### REJESTRUJ SIĘ ŚWIADOMIE!

Wypełnienie formularza rejestracyjnego trwa zaledwie parę minut, nie powinno jednak odbywać się pod wpływem nagłego impulsu lub namowy znajomych. Dołączenie do bazy nie oznacza, że na pewno kiedyś znajdzie się biorca, który będzie potrzebował naszej pomocy, ale należy pamiętać o tym, że poprzez przesłanie zgłoszenia deklarujemy chęć bycia dawcą, jeśli zajdzie taka potrzeba – a może się to zdarzyć za pięć miesięcy albo nawet za pięć lat. Czy można się później z tego wycofać?

– Jest możliwość rezygnacji do momentu, w którym zadzwoni telefon z fundacji. Pierwsze pytanie zawsze brzmi: „Czy nadal chcesz być dawcą?” i jeżeli wtedy odpowiemy „nie”, to osoba rozłączy się i zostaniemy wymazani z bazy. Najważniejsze jest to, żeby nie wycofywać się później, w trakcie badań zgodności między dawcą a biorcą, ponieważ wtedy odporność chorego jest obniżana niemal do zera i poprzez rezygnację w tym momencie narażamy tego biorcę na śmierć – tłumaczy Sylwia.

Należy też pamiętać, aby poinformować fundację o wszelkich poważniejszych problemach zdrowotnych, jeśli takie się pojawią. Istnieje lista schorzeń, które wykluczają możliwość zostania dawcą i jeżeli zachorujemy na jedno z nich lub sytuacja rodzinna zmusi nas do rezygnacji z dawstwa, powinniśmy to zgłosić.

#### KTO MOŻE ZOSTAĆ DAWCĄ?

– Dawcą nie może zostać osoba, która ma mniej niż 18 albo więcej niż 55 lat ani taka, która waży mniej niż 50 kg lub, w drugą stronę, ma BMI większe niż 40, czyli jest bardzo otyła – wymienia Sylwia. A co z kobietami w ciąży? Okazuje się, że mogą się one zarejestrować do bazy, muszą jednak podać w formularzu przewidywany termin porodu. Jest to wymagane, ponieważ system zakłada wtedy blokadę na okres ciąży i sześciu miesięcy po porodzie, dzięki czemu młoda matka nie będzie brana pod uwagę w trakcie poszukiwań dawcy dla chorych. Analogicznie sytuacja wygląda w przypadku kobiet, które zaszły w ciążę już po dołączeniu do bazy – powinny zgłosić ten fakt fundacji, aktualizując swoje dane za pośrednictwem strony internetowej DKMS lub telefonicznie.

Dlaczego warto rejestrować się w młodym wieku? – Największy potencjał jest w nas, młodych, ponieważ w bazie figurujemy do 60. roku życia – wyjaśnia Monika. – Przed nami jeszcze niemal 40 lat, w czasie których możemy kogoś uratować. Jest większe prawdopodobieństwo, że my komuś pomożemy w ciągu tych 40 lat życia niż osoba, która rejestruje się do bazy w wieku 55 lat. W nas jest jeszcze moc!

#### DWIE METODY POBRAŃ – NA CZYM POLEGAJĄ?

W momencie rejestracji do bazy deklarujemy, że zgadzamy się na obie metody pobrania szpiku stosowane w Polsce. O tym, która z nich zostanie zastosowana w naszym przypadku, dowiadujemy się dopiero wtedy, gdy znajdzie się biorca i zostaniemy zakwalifikowani do

dalszych badań. Na czym polega każda z metod i z czym się wiąże?

– Pierwsza z nich zwana jest aferezą. Zabieg przypomina proces pobierania składników krwi: mamy dwie igły wkłute w dwa zgięcia łokciowe; z jednego z nich wypływa krew ze zwiększoną liczbą komórek macierzystych, które następnie są odseparowywane przez maszynę, a krew wraca do naszego organizmu przez drugą rękę. Pobiera się ok. 300 ml komórek, czyli objętość puszkę Coca-Coli – opisuje Monika. Ta metoda jest stosowana w ok. 80% przypadków, a zabieg trwa 3-4 godziny. Jesteśmy wtedy świadomi, możemy w tym czasie np. oglądać filmy lub czytać gazety. Po skończonym pobraniu nie zostajemy w szpitalu, ale otrzymujemy na ten dzień zwolnienie z pracy, mimo że zazwyczaj nie odczuwa się żadnych skutków ubocznych tego zabiegu.

Druga metoda polega na pobraniu szpiku z talerza kości biodrowej i jest stosowana wtedy, gdy z różnych powodów u dawcy nie można przeprowadzić aferezy. Jak przebiega zabieg?

– Jest wykonywany pod pełną narkozą i trwa ok. półtorej godziny. W tym czasie dwóch lekarzy przy pomocy specjalnych strzykawek pozyskuje szpik z talerza kości biodrowej, czyli wkłupa się w te dwa charakterystyczne dołeczki u dołu pleców. Tą metodą pobiera się od jednego do półtora litra mieszanki krwi i szpiku. Zaleca się, aby po wybudzeniu pacjent został w szpitalu na 24 godziny, ale jest możliwość wypisania się wcześniej na własną odpowiedzialność. Przez około dwa tygodnie po takim pobraniu można odczuwać ból w miejscu wkłucia porównywalny do stłuczenia np. po uderzeniu się o stół – opowiada Sylwia.

#### CZYNNIK WZROSTU I GENY HLA, CZYLI PRZYGOTOWANIE DO ZABIEGU

Kiedy otrzymamy telefon z fundacji z informacją, że znalazł się biorca potrzebujący naszej pomocy, w klinice dochodzi

do pierwszego spotkania lekarza i potencjalnego dawcy. Określa się wtedy jeszcze raz geny HLA, które są odpowiedzialne za to, żeby sparować dwie osoby. Aby biorca mógł być uznany za naszego bliźniaka genetycznego, musimy mieć z nim zgodnych dziesięć na dziesięć antygenów. Jeśli okaże się, że ta zgodność występuje w 100%, zostajemy skierowani na dalsze

aplikowanie sobie czynnika wzrostu – nie mylić z hormonem wzrostu powodującym rośnięcie – przez cztery dni poprzedzające zabieg. Sprawia on, że organizm wytwarza więcej komórek macierzystych niż zazwyczaj, dzięki czemu koncentrat pobrany z naszej krwi obwodowej będzie bardziej zagęszczony i skuteczniejszy. Jeśli zaś chodzi o pobranie z talerza kości biodrowej, to jedyne przygotowanie polega na tym, że dzień wcześniej należy zgłosić się do kliniki.

– Czasami zdarza się tak, że po pierwszym pobraniu musi nastąpić następne, ponieważ pierwsza partia mogła się nie przyjąć – zaznacza Monika. – Mamy wtedy dwa zabiegi, jeden po drugim albo w pewnym odstępie czasu, zależnie od tego, jak pacjent zareaguje na pierwszy zabieg.

#### POMAGAJMY!

Jeśli po przeczytaniu tego tekstu zaczynasz żałować, że przegapiłeś projekt HELPERS' GENERATION i nie dołączyłeś do bazy dawców – nic straconego! Fundacja DKMS wysłała do domów formularze, pałeczki i koperty, co umożliwi zarejestrowanie się w dowolnym momencie. Wystarczy pobrać sobie wymaz z wewnętrznej części policzków, wypełnić dokumenty i odesłać to na adres fundacji w załączonej kopercie zwrotnej. Można też poczekać na kolejne zorganizowane wydarzenie, niekoniecznie na Politechnice.

– Jest kampania „Kibice wspólnie przeciw białaczce”, są akcje na meczach i piłki nożnej, i koszykówki, i siatkówki, są również akcje dedykowane poszczególnym pacjentom. Warto zaznaczyć, że nie szukamy wtedy dawcy tylko dla konkretnego biorcy, lecz rejestrujemy się do całej bazy; mówi się tutaj po prostu o jednym bohaterze danej akcji – wyjaśnia Sylwia.

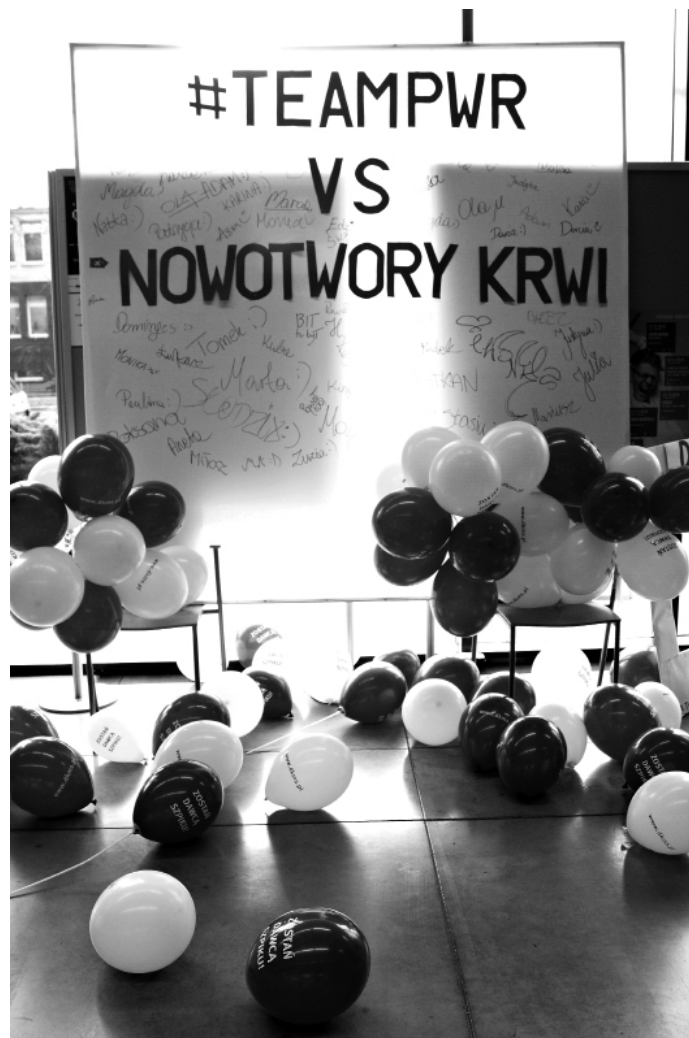
– Są też akcje cyklicznie organizowane w różnych innych miejscach, tak jak np. w liceach, projekty studenckie, wydarzenia na Wyspie Słodowej... Okazji do rejestracji jest naprawdę bardzo dużo – podkreśla.

Ja już dołączyłam do bazy dawców – a ty? ■

Aleksandra Palecka

## DKMS X

### POKONAJMY NOWOTWORY KRWI



FOT. PAULINA NAPIERAŁA

badania np. EKG, EEG i testy na wszystkie wirusy. Na wyniki czeka się od miesiąca do trzech, później zaś następuje proces bezpośredniego przygotowania do zabiegu pobrania.

W zależności od tego, która z metod zostanie zastosowana w naszym przypadku, przygotowanie wygląda inaczej. W przypadku aferezy konieczne jest

# JAK MIASTO ZACHĘCA DO CZYTANIA KSIĄŻEK?

**Dla wielu z nas studia są specyficznym okresem, gdy przestajemy czytać cokolwiek, co nie jest podręcznikiem lub skryptem do wykładu. Szkoła przestała już nas obligować do sięgania po lektury i teraz to my musimy zdecydować, czy chcemy czytać coś poza tym, co absolutnie konieczne, czy też nie.**

Musimy jednak mieć na uwadze, że sama chęć do czytania może się niestety okazać niewystarczająca. Czasem zdarza się tak, że niezależnie od wewnętrznych postanowień w nawale obowiązków brakuje czasu na sięgnięcie po kawałek prozy. Wybranie się do biblioteki lub księgarni wymaga wygoszparowania dłuższej chwili, której coraz częściej nie mamy. Nie musi to jednak oznaczać definitywnego końca naszej czytelniczej kariery – Wrocław (i nie tylko) przychodzi z pomocą!

BOOKCROSSING WE WROCŁAWIU Zachęty do czytania nie musimy szukać daleko – we Wrocławiu znajduje się już ponad dziesięć skrzynek do bookcrossingu. Ale o czym w ogóle mowa? Idea jest prosta – każdy może zabrać ze sobą książkę z takiego punktu, a po przeczytaniu zostawić w miejscu, skąd będzie mogła trafić do innego czytelnika. Najlepiej, oczywiście, odnieść powieść do innego, specjalnie do tego przeznaczonego punktu bookcrossingowego, żeby inni też mogli z niej skorzystać, ale nie jest to obowiązkiem – książkę równie dobrze można zostawić w tramwaju, kawiarni lub jakimkolwiek miejscu publicznym. Ważne jest tak naprawdę tylko to, aby nie zostawić jej na dworze, gdzie może zostać łatwo zniszczona przez deszcz.

Taki ruchomy księgozbiór jest ukłonem w stronę osób, które nie odnajdują się w tradycyjnych bibliotekach i nie po drodze im z płaceniem kar za niedotrzymanie terminu zwrotu lub bieganiem między regałami w poszukiwaniu tej właściwej książki, która być może okaże się interesująca. To jest prostsze, niż może się wydawać – wystarczy zlokalizować półkę najbliżej naszego miejsca zamieszkania i zapoznać się ze zgromadzonymi na niej tytułami.

Bookcrossing to ciekawa alternatywa szczególnie dla tych, którzy z czytaniem jako takim nie mają za wiele wspólnego i nie wykształcili jeszcze swoich

preferencji odnośnie do autorów i gatunków. Romanse, kryminały, różnego rodzaju poradniki – wszystko to może wpaść nam w ręce. Trzeba tylko dobrze szukać.



FOT. KSENIA KUCHTA

TAJEMNICZE STOJAKI Z KSIĄŻKAMI NA DWORCACH

Wziąwszy pod uwagę niepokojąco małą liczbę ludzi, którzy mają o akcji jakiegokolwiek pojęcie, mogłoby się wydawać, że skrytki do bookcrossingu są dobrze poukrywane i że ciężko jest natknąć się na nie przypadkiem. Nic bardziej mylnego – czasami po prostu w pośpiechu przebiegamy obok nich, nie zwracając szczególnej uwagi na zawartość. Wystarczy odwiedzić Dworzec Główny we Wrocławiu, by natknąć się na bramę czekającą

na zaprowadzenie podróżnych do świata fikcji. Jedyną trudność, którą możemy napotkać, to fakt, że wspomniana brama, choć wyłożona od góry do dołu książkami, pełni tylko funkcję reklamową, a do właściwej półki bookcrossingowej, znajdującej się w Nowym Biurze Dworca, musimy przejść całe kilkanaście metrów – poza tym możemy brać, co chcemy, i czytać do woli!

Akcja nie ogranicza się tylko do Wrocławia – PKP z pomocą Fundacji Bookcrossing włączyło do niej również inne dworce, wśród których znajdują się między innymi Warszawę Centralną i Wschodnią, Poznań Główny, Gdynię Główną i Katowice. Gdy szukamy się do podróży pociągiem, możemy mieć, co prawda, nadzieję, że podjedzie po nas skład o europejskim standardzie i najbliższych kilka godzin spędzimy spokojnie wpięci do prądu, pracując na naszych laptopach i telefonach komórkowych... Albo zdecydować się na ciekawą lekturę z ruchomej dworcowej biblioteki i mieć zapewnioną rozrywkę niezależnie od stanu faktycznego pociągu, którym przyjdzie nam jechać. Wybór należy do nas.

ZACZNIJ CZYTAĆ

W dzisiejszych czasach dostęp do książek nie stanowi już najmniejszego problemu – nie możemy już wymawiać się tym, że

książki w księgarniach są drogie, a biblioteki znajdują się za daleko. Alternatyw jest dużo i choć czasami może się nam wydawać, że doba jest o kilka godzin za krótka, to i tak uważam, że warto wygoszparować chociaż parę chwil, które spędzimy sam na sam ze słowem pisany. Z czytaniem jest jak z jazdą na rowerze – nigdy się tego nie zapomina i nawet jeśli od dawna nie mieliśmy w rękach żadnej powieści, możemy to bez problemu zmienić. ■

Ksenia Kuchta

# ZDERZENIE Z MIASTEM I JEGO RZECZYWISTOŚCIĄ

Od października mogę służyć za przykład pewnego archetypu obecnego w naszej kulturze. Oto chłopak, który nigdy wcześniej nie wyściubił nosa z rodzinnej wsi, wyjeżdża do dużego miasta, by zasmakować wielkiego świata, poznać nowych ludzi i, last but not least, nauczyć się czegoś na studiach. Rzecz jasna, nieco koloryzuję – zdarzało mi się bywać w większych miejscowościach. Nie zmienia to jednak faktu, że po raz pierwszy osiadłem w jednej z nich na dłużej, co jest dla mnie źródłem kilku przemyśleń.

Jak łatwo się domyślić, podobnie jak wielu innych przyjezdnych, spotkałem się z zupełnie przyziemnymi problemami z rodzaju uciekających tramwajów czy oddalonych od akademika sklepów spożywczych. To wszystko jest jednak dosyć banalne. Żeby lepiej zrozumieć dalszą część artykułu, należy wspomnieć co nieco na temat mojego nastawienia do tej wielkiej przygody.

## DUŻE NADZIEJE...

Jak już wspomniałem, od dziecka mieszkałem w małym miasteczku i zawsze dostrzegałem tylko negatywne aspekty tego stanu rzeczy. Mocno ograniczona pula jeszcze nie poznanych osób, kluby sportowe z niskich lig i brak możliwości rozwijania bardziej niszowych zainteresowań – takie problemy zapewne bym wymienił, gdyby ktoś spytał, jak żyje się nastolatkowi w Pogorzeli. W dodatku nigdy nie przemawiały do mnie argumenty drugiej strony, że mieszkańcy terenów mniej zurbanizowanych mają lepszy kontakt z naturą i spokojniejsze życie. Nic więc dziwnego, że z wielką nadzieją czekałem na studia i na związaną z nimi przeprowadzkę; wiele też sobie po niej obiecywałem.

## ...KONTRA RZECZYWISTOŚĆ

Jak to jednak z nadziejami bywa – zostały zweryfikowane przez życie. Bardzo podoba mi się studiowanie i mieszkanie we Wrocławiu, niemniej kilka rzeczy wygląda inaczej, niż je sobie wcześniej wyobrażałem.

Na pierwszy plan wysuwa się

kwestia ludzi i relacji z nimi. Miałem pod tym względem wysokie oczekiwania od przyszłości. Już wcześniej, kiedy siedziałem w kawiarni, uwielbiałem obserwować ludzi, podziwiać ich różnorodność i wychwytywać wyróżniające się jednostki. Przykrym i zdumiewającym dużym szokiem było dla mnie to, że na tym kontakt z większością tych osób się kończy i nie jest tak łatwo poznać kogoś naprawdę dobrze. Pozornie jest to oczywiste, ale w moim przypadku doprowadziło do ogromnego dysonansu. Miałem świadomość, że każda z niezliczonych mijających mnie postaci jest równocześnie niepowtarzalnym człowiekiem, istotą z pełną gamą uczuć, doświadczeń i cech, z którą mógłbym nawiązać głęboką relację, jak i częstką tłumu, której pewnie nigdy już nie spotkam i nie poznam. To wrażenie było pewnie spotęgowane przez kontrast z moimi dotychczasowymi doświadczeniami.

Gdy mieszka się w małej miejscowości, mniej lub bardziej zna się prawie każdą osobą i, co istotniejsze, z każdym ma się jakiś kontakt. Formą takiej interakcji jest choćby wymiana pozdrowień ze starszą panią spotkaną na ulicy. Dzieje się tak dlatego, że staruszka ta nie jest dla całkiem anonimowa, ponieważ to na przykład emerytowana nauczycielka, uwielbiana przez wszystkich swoich uczniów. Takie drobiazgi składają się na potrzebne człowiekowi poczucie bliskości innych ludzi i życia w społeczeństwie, a nie obok niego. Ich brak jest nieco depresyjny, może powodować wyalienowanie

– a te sytuacje rzadko zdarzają się w wielkim mieście.

## INSPIRUJĄCE PIĘKNO

Nie wszystko jest jednak tak szare i dołujące. Jako fan myśli Ayn Rand, utożsamiający się z wieloma wartościami płynącymi z jej książek, wiele obiecywałem sobie po tym, jakie estetyczne wrażenie wywrze na mnie moje nowe miejsce zamieszkania. I rzeczywiście – miasto jest piękne, i to w dość głębokim sensie. Czy to stare kamieniczki lub kościoły, czy nowoczesne budynki ze szkła, wszystkie są wspaniałe i inspirujące dzięki temu, że są świadectwem wielkości człowieka, który je zbudował. Jak to zostało trafnie ujęte w jednej z książek wspomnianej amerykańskiej pisarki: „Człowiek stojący u stóp drapacza chmur nie powinien czuć się mały, tylko wielki, ponieważ ma taki sam potencjał jak budowniczy tego budynku”.

Być może nie do każdego przemawia taka filozofia, ale naprawdę warto zastanowić się nad tym punktem widzenia, tym bardziej, że Wrocław daje ku temu okazję. To miasto bardzo urokliwe i niezależnie od tego, czy ktoś woli nowoczesną czy tradycyjną zabudowę, znajdzie niejedno miejsce, którym będzie mógł się zachwycić. Podejście to może być cenne zwłaszcza dla osób, które tęsknią za wakacjami na wsi czy w górach. W oczekiwaniu na upragnione wolne można spróbować odkryć na nowo swoje najbliższe otoczenie i dostrzec w nim wcześniej zignorowany urok. ■

*Michał Sierszulski*

# HISTORIA PLACU GRUNWALDZKIEGO

**Studiując na Politechnice Wrocławskiej, codziennie przebywamy w rejonie placu Grunwaldzkiego. Czy wiemy jednak, skąd pochodzi jego nazwa? Przecież tak naprawdę to nie plac, a zwykła ulica. Poznajmy bliżej historię tego miejsca.**

Oś Grunwaldzka powstała na początku XX wieku w celu lepszego skomunikowania centrum Wrocławia z jego wschodnimi dzielnicami, które zostały włączone do miasta. Reprezentacyjna aleja, nazywana wówczas ulicą Cesarską, połączyła dzisiejszy most Szczytnicki z wybudowanym w latach 1908-1910 mostem Grunwaldzkim. W połowie jej długości powstało duże skrzyżowanie z istniejącymi wcześniej ulicami. Posiadało ono wloty z sześciu różnych kierunków i nazywane było Szczytnicką Gwiazdą.

## CZASY PRZEDWOJENNEGO BRESLAU

Most Grunwaldzki, czyli najbardziej znana wrocławska przeprawa, został otwarty 10 października 1910 r. w obecności niemieckiego cesarza Wilhelma II. Jest mostem wiszącym, o nitowanej konstrukcji stalowej. Projektantem jego architektury był miejski radca budowlany, Richard Plüddemann, do którego dzieł należą także budynek Wydziału Architektury przy ulicy Prusa, Hala Targowa oraz most Zwierzyniecki. Przed II wojną światową przeprawa łącząca plac Grunwaldzki z centrum Wrocławia nosiła nazwę mostu Cesarskiego – jedynie w okresie Republiki Weimarskiej zmieniono ją na most Wolności. Z budową mostu Grunwaldzkiego wiąże się legenda, według której tuż przed jego otwarciem główny projektant miał się dopatrzeć błędów w swoich obliczeniach. Przerażony, stwierdził, że wisząca konstrukcja nie wytrzyma obciążenia przebywających na niej ludzi, dlatego popełnił samobójstwo. Nie jest to jednak historia prawdziwa, bo Alfred von Scholtz, który był projektantem tego mostu, zmarł dopiero w 1934 r.

W czasach Breslau ulica Cesarska zabudowana była kamienicami podobnymi do tych znajdujących się przy ulicach Norwida, Skłodowskiej-Curie i Smoluchowskiego. Na ich tle wyróżniał się jednak budynek, o którym mało kto dzisiaj pamięta. Był to ewangelicki kościół Lutra, który znajdował się obok Pomnika Pomordowanych Profesorów Lwowskich, w miejscu wejścia do dzisiejszego budynku D-1. Został on wybudowany w latach 1893-1896 w stylu

neogotyckim i posiadał wieżę liczącą ponad 90 m wysokości. Przed II wojną światową był najwyższym budynkiem w całym Wrocławiu.

## LOTNISKO W ŚRODKU MIASTA

Obszerna przestrzeń, która dała podstawę do nazwania tego miejsca placem, powstała podczas oblężenia Festung Breslau na wiosnę 1945 r. Po zajęciu przez Armię Czerwoną lotniska na Gądowie Małym obrońcy twierdzy stracili możliwość otrzymywania zaopatrzenia samolotami. Wówczas gauleiter Dolnego Śląska, Karl Hanke, podjął decyzję o wybudowaniu lotniska w środku miasta. Do tego celu chciał początkowo wykorzystać dzisiejszy plac Wolności, jednak ostatecznie wybrał ulicę Cesarską, która w ten sposób stała się placem, wyburzono bowiem wszystkie stojące wzdłuż niej budynki. Rozważano również całkowite zniszczenie mostu Grunwaldzkiego, ale finalnie zdecydowano się tylko na wysadzenie jego pylonów. W tym celu pod przeprawę podstawiono łodzie z grubymi palami, które podtrzymywały ją od dołu, co umożliwiło przecięcie stalowych taśm, na których zawieszony jest most. Ślady prac wyburzeniowych widoczne są do dzisiaj w jego konstrukcji. Stalowa blacha, znajdująca się przy wejściu na most od strony Wybrzeża Wyspiańskiego, jest nienaturalnie wygięta, bo prawdopodobnie spadały na nią granitowe kamienie z wysadzanego pylonu. Budowa lotniska pochłonęła wiele ofiar wśród ludności cywilnej i robotników przymusowych. Jak na ironię, z powstałego w ten sposób pasa startowego odleciał tylko jeden samolot. W nocy z 5 na 6 maja 1945 r., tuż przed kapitulacją Festung Breslau, miał się nim ewakuować z Wrocławia pomysłodawca stworzenia lotniska, Karl Hanke.

## POWOJENNA ODBUDOWA WROCŁAWIA

Po zakończeniu II wojny światowej i włączeniu Wrocławia do Polski pusty teren między dwoma mostami został nazwany placem Grunwaldzkim. Szybko zamienił się on w tzw. szaberplac, czyli największe targowisko w mieście. Handlowano tutaj praktycznie wszystkim – począwszy od przywożonych

z centrum kraju owoców i warzyw, przez gramofony, radia i rowery, po porcelanę i ubrania, wynoszone z opuszczonych niemieckich domów. Szaberplac zakończył działalność w 1947 roku, kiedy targowisko zostało przeniesione na plac Strzelecki.

Na początku lat 50. XX wieku rozpoczęto planowanie zabudowy placu Grunwaldzkiego. Jako pierwsze powstały budynki D-1 i D-2, należące do Politechniki Wrocławskiej. Później wybudowano przy ulicy Janiszewskiego Dom Naukowca z mieszkaniami dla pracowników naukowych naszej uczelni, a także pierwsze gmachy Uniwersytetu Wrocławskiego i ówczesnej Akademii Rolniczej. Nie zapomniano również o studentach, dla których postawiono akademiki Dwudziestolatka i Parawanowiec.

W latach 1968-1973 po północnej stronie placu Grunwaldzkiego powstał zespół sześciu budynków mieszkalnych i trzech pawilonów handlowo-usługowych. Został on zaprojektowany przez Jadwigę Hawrylak-Brzezowską i nazywany jest Sedesowcami lub wrocławskim Manhattanem. Koncepcja pani architekt zakładała pokrycie wieżowców białym tynkiem oraz wykończenie balkonów cegłą klinkierową i ciemnym drewnem. Ponadto dachy pawilonów handlowych i zaokrąglone wnęki elewacji miały być pokryte roślinnością. Niestety założenia te nie zostały zrealizowane z powodu konieczności obniżenia kosztów budowy. Dopiero po zakończonym w zeszłym roku remoncie zespół Sedesowców zaczął częściowo wyglądać zgodnie z zamierzeniami projektantki.

W latach 1981-1991 wybudowane zostały charakterystyczne akademiki Kredka i Ołówek. Liczą one odpowiednio 85 i 70 m wysokości, a ich twórcami jest małżeństwo – Krystyna i Marian Barscy. Warto zauważyć, że zaprojektowali oni także wiele innych budynków znajdujących się przy placu Grunwaldzkim. Mowa tu chociażby o wspomnianym wcześniej Parawanowcu, słynnym audytorium Wydziału Chemii Uniwersytetu Wrocławskiego, budynku C-7 należącym do naszej uczelni, a także Domu Towarzystwa Salezjańskiego przy kościele

Najświętszego Serca Jezusowego.

Przy okazji powojennej odbudowy placu Grunwaldzkiego zmieniony został istniejący wcześniej układ ulic. Zlikwidowano ulicę Targową, która dochodziła do dzisiejszego Ronda Reagana w miejscu Domu Naukowca. Podobny los spotkał ulicę Ludwisarską łączącą plac Grunwaldzki z ulicą Norwida i przebiegającą przez teren, na którym dzisiaj znajduje się dziedziniec budynku C-13. Podczas budowy Sedesowców skrócone zostały ulice Nauczycielska, Nehringa i Wrocławczyka, przez co przestały być połączone z Osią Grunwaldzką.

**METAMORFOZA POCZĄTKU XXI WIEKU**  
W latach 2004-2008 plac Grunwaldzki zmienił się nie do poznania.

Metamorfoza rozpoczęła się od budowy galerii handlowej Pasaż Grunwaldzki w miejscu skweru pomiędzy ulicami Skłodowskiej-Curie i Piastowską oraz przesunięcia wlotu Wybrzeża Wyspiańskiego obok mostu Grunwaldzkiego. W miejscu dawnego przebiegu ulicy wzdłuż Odry powstał skwer z fontanną i ławkami. W 2006 r. zaczęła się trwająca dwa lata przebudowa układu drogowego na placu Grunwaldzkim oraz przylegających do niego ulicach. To właśnie wtedy, w miejscu dawnej Szczytnickiej Gwiazdy, powstało rondo Reagana z węzłem komunikacji miejskiej, znajdujące się na środku placu Grunwaldzkiego. Dzięki temu przystanki tramwajowe i autobusowe zostały zintegrowane – wcześniej bowiem były rozrzucone po wszystkich wlotach

skrzyżowania. Równocześnie na skwerze między ulicami Norwida i Skłodowskiej-Curie wybudowany został biurowiec Grunwaldzki Center, odnowiono także Dwudziestolatkę i Dom Naukowca. Generalny remont przeszedł wówczas most Szczytnicki, a drobnym pracem konserwacyjnym poddany został również jeden z symboli Wrocławia, czyli most Grunwaldzki.

Pamiętajmy zatem, że nazwanie dawnej ulicy Cesarskiej placem nie jest przypadkowe i wynika z zaszczości historycznych. Bądźmy czujni i odróżniamy plac Grunwaldzki od ulicy o tej samej nazwie, która znajduje się nieopodal miejsca będącego niegdyś pasem startowym lotniska. ■

*Krzysztof Papierniak*

# AUTOSTOPEM PO MARZENIA PÓŁROCZNA PODRÓŻ PO AZJI CZ. II

**W poprzednim numerze poznaliście Olę i Janka – wszędobylskich włóczykiów, którzy postanowili podróżować po Azji autostopem. Nie sposób opisać ich sześciomiesięcznej podróży na kilku stronach, dlatego wybraliśmy tylko niektóre z ich przygód.**

Zapytacie, jak pasja podróżnicza była odbierana przez mamę Oli. Prawdę mówiąc nawet nie wiedziała, na jak długo jej córka wyjeżdża – jeszcze w Chinach codziennie wypytywała, czy już kupiła bilet na lot powrotny i czy będzie w przyszłym tygodniu – a tu w głowie perspektywa dalszego podróżowania! Laos, Tajlandia, Malezja, Indie...

– Mama nie była zadowolona, ale niestety spodziewałam się tego. Kiedy nie chciałam jej mówić, że wylatujemy w trakcie roku akademickiego, wysłałam jej enigmatycznego SMS-a „Pozdrawiam z Afryki! Wracam za tydzień, nie złość się!”.

Kobieta nadal ma nadzieję, że każdy wyjazd jej córki jest już tym ostatnim, ale coraz częściej pyta o podróże z zainteresowaniem, a nie tylko ze strachem w oczach. Rodzina śmieje się, że Ola jest ich oknem na świat.

**PODNIĘBNY POGRZEB I KUDŁACI EUROPEJCZYCY W TYBECIE**

Jednym z przystanków w podróży po Azji była ostoja kultury tybetańskiej – Litang, miejscowość znajdująca się około 4200 m n.p.m. Młodzi podróżnicy dotarli tam wieczorem

i postanowili zatrzymać się w pierwszym lepszym hostelu. Właścicielka zachęciła ich, by następnego dnia wybrali się z jej mężem w pewne miejsce, w którym miała odbyć się ciekawa, tradycyjna ceremonia. Nie wiedząc, na co się piszą, bohaterowie zgodzili się bez wahania. Niestety mężczyzna nie mówił ani po angielsku, ani po rosyjsku, zatem nazajutrz rano, o nic nie pytając, wsiedli do auta i ruszyli w nieznaną. Była 5.00, więc w mroku nawet nie widzieli, dokąd jadą, a na dodatek zaczął padać rzęsisty deszcz. Po dotarciu na miejsce ceremonii zostali zaproszeni do murowanego budynku wielkości altanki. Było tam około trzydziestu osób, a na środku pomieszczenia paliło się ognisko.

– Popłakałam się od tego dymu – wspomina Ola, a po chwili dodaje – było bardzo zimno, dlatego miałam chustkę zawiązaną dookoła głowy w ten sposób, że było widać tylko moje łzawiące oczy. Ci ludzie coraz śmieiej wskazywali między sobą na mnie, na Janka, na jego brodę, a my nie wiedzieliśmy, o co im chodzi. W końcu jeden odważny Tybetańczyk podszedł do mnie i ściągnął mi chustkę z twarzy. Nagle wszyscy

zebrani parsknęli śmiechem; zapewne myśleli, że ja też mam brodę. Tamtejsi ludzie są tak mało owłosieni, że jak zobaczyli bujny zarost Janka, to myśleli, że skoro mężczyzna może taki posiadać, to pewnie europejskie kobiety też – podsumowuje. – W autobusie ludzie głaskali Janka po nogach, bo nie mogli się nadziwić, jak kudłaci są biali ludzie.

Tybetańczycy są słabo owłosieni, wolniej się starzeją i dłużej żyją, a to ze względu na niską zawartość tlenu na tej wysokości. Niestety coś kosztem czegoś: dłużej cieszą się młodością, ale też prowadzą bardzo powolne życie, wszystko robią flegmatycznie. Dzięki genowi odpowiedzialnemu za adaptację do środowiska wysokogórskiego mogą normalnie funkcjonować w warunkach obniżonej zawartości tlenu. Zwykły Europejczyk, nieprzystosowany ewolucyjnie do życia w takim miejscu, może odczuwać objawy choroby wysokościowej i tak też było w przypadku Oli. Leciała mi krew z nosa i czułam się jakbym w ciągu dnia przytyła z pięćdziesiąt kilogramów. Na nic nie miałam siły! – przyznaje.

Kiedy deszcz ustał, wszyscy opuścili

niewielki budynek. Część ludzi niosła jakieś zawiniątko, a część odganiała zaciekawione psy.

– Myślałam, że mieli tam jakąś ofiarę, a ta cała ceremonia to będą tańce, śpiewy i tak dalej, lecz nic takiego nie nastąpiło – wspomina podróżniczka. – Gdy przyszedł czas na rozpakowanie zawiniątka, jeden z mężczyzn wziął nóż i naciął znajdującą się w nim kukłę przypominającą starszego człowieka. Gdy zobaczyłam naciętą łydkę, a że jestem po anatomii, to mniej więcej wiem, jak wyglądają mięśnie łydki, pomyślałam sobie, że bardzo realistyczna ta kukła, idealnie zrobili te mięśnie. Dopiero jak zapach krwi przyciągnął sępy, zrozumiałam, że to nie była kukła... Zobaczyłam ptaka z jelitami w dziobie. To było ludzkie ciało!

Wystarczyło zaledwie kilka minut, żeby zwłoki zostały zjedzone przez wygłodniałe ptaszyska. Ceremonia, w której mieli okazję uczestniczyć Ola i Janek, nazywana jest podniebnym lub niebiańskim pogrzebem. Taki sposób chowania zmarłych jest spowodowany tym, że na dużych wysokościach kopanie grobów byłoby trudne. Kremacja? Też nie wchodzi w grę! Po

pierwsze jest tam zbyt mało drewna, a po drugie dużą rolę odgrywa wiara tamtejszych ludzi w świętość sępów, które mają zabrać nieboszczyka do nieba. Po skonsumowaniu ciała zmarłego przez ptaki, kapłan bierze młoteczek i rozdrabnia kości. Podobno jest to bardzo zły omen, gdy zwierzęta nie chcą zjeść ciała zmarłego.

u nich jest to wydarzenie mistyczne: nikt nie płacze, wszyscy są pełni nadziei, a krwawe widowisko nie wywołuje odrazy, lecz pogłębia wiarę.

#### SINUSOIDA ZDARZEŃ

Raz na wozie, raz pod wozem – to powiedzenie idealnie pasuje do historii, która przytrafiła się Oli

i Jankowi w Chinach. Dziś śmieją się z tego i nazywają ten czas sinusoidą zdarzeń, jedną kwtedy nie było im tak wesoło.

W nocy poprzedzającej ostatni dzień ważności wizy chińskiej bohaterowie znajdowali się w odległości pięciuset kilometrów od Laos – kolejnego punktu podróży. Nie trzeba być geniuszem, by się domyślić, że czas ten minął na szalonej pogoni, a właściwie to ucieczce przed zapłaceniem kary za wygaśnięcie wizy. W końcu 100\$ – bo

tyle musieliby zapłacić za każdy dzień przekroczenia ważności wizy – piechotą nie chodzi, zwłaszcza gdy w perspektywie ma się dalsze podróże, a w portfelu pieniędzy tyle, co kot napłakał. Podróżnicy dotarli na stację, na której było pięć aut i niestety wszystkie się rozjechały; musieli czekać trzy godziny, aż coś w końcu nadjedzie.



FOT. A. STUDZIŃSKA, J. KIERWIĄK

Kiedy wracali do hostelu, było już widno i dopiero teraz dostrzegli, że drogi wysypane są ludzkimi kośćmi. Taki widok nie dziwi mieszkańców Litang – są oni oswojeni ze śmiercią – lecz dla Oli i Janka był czymś bardzo ekscentrycznym. U nas pogrzeb kojarzy się z dziurą w ziemi i odzianymi na czarno zapłakanymi żałobnikami;



– Grubo po północy dostaliśmy się do miasteczka oddalonego o jakieś 15 km od tej stacji i spaliliśmy w najbardziej obskurnym hotelu, jaki na oczy widziałam – wspomina Ola. – W pokoju mieliśmy grzyba na całej ścianie, w oknie brakowało szyby, a w łazience biegały szczury. Brzmi strasznie, ale paradoksalnie dobrze jest się przespać w takim miejscu; dopiero wtedy docenia się, jaki to luksus mieć czysty pokój, z szybami w oknach i bez harcujących gryzoni. Wtedy masz wrażenie, że jesteś królem życia.

Kolejnego dnia podróżnicy wstali o piątej i wyruszyli w dalszą drogę. Od rana śledził ich pewien mężczyzna jadący autem z prędkością około 5 km/h i bacznie przyglądający się białym ludziom. Jak już było wspomniane w pierwszej części artykułu, biali ludzie są prawdziwymi celebrytami w krajach azjatyckich i wzbudzają duże zainteresowanie, które w przypadku śledzącego ich Chińczyka osłabło po około godzinie – ku wielkiej uldze przyjaciół. Po pewnym czasie los się do nich uśmiechnął i udało im się zatrzymać auto prowadzone przez starszego pana. Podekscytowany obecnością przedstawicieli rasy białej Chińczyk postanowił zbroczyć na chwilę z trasy, by nakarmić podróżników; zaprosił ich więc na śniadanie.

– To było bardzo miłe ze strony tego pana, był dla nas jak dziadek. Niestety bardzo nam się śpieszyło, a taki postój to godzina mniej na dotarcie do celu – wyjaśnia Ola. – Mimo wszystko ten pan był przekochany! Taki nasz chiński dziadziuś.

Po śniadaniu przemiły staruszek postanowił podwieźć podróżników nieco dalej, niż sam planował. Wcisnął swoim nowym, białym wnuczętom pieniądze i pożegnał się z nimi, życząc szczęścia na swój chiński sposób. Odmawianie wzięcia gotówki czy jedzenia było niemożliwe, bo Chińczycy z takim uporem przekazywali darowiznę, że nawet mistrz asertywności nie wybrnąłby z tej sytuacji zachowując swój tytuł.

Jak to bywa w sinusoidzie, raz krzywa biegnie w górę, a raz w dół – i tak też było w ich przypadku, bo od rozstania z chińskim dziadkiem szczęście przestało im sprzyjać. Nic nie mogli złapać, czas uciekał, a wizja kary pieniężnej wisała w powietrzu. Aż w końcu linia poszła w górę: zatrzymało się auto wielkości Tico, co prawda wyładowane po brzegi, ale

podróżnicy zdołali się w nim zmieścić wraz z całym swoim majdanem. Jednak nie było im dane cieszyć się tym faktem zbyt długo, bo na drogę zesłała lawina błotna i całkowicie zablokowała przejazd. Nie pozostało nic innego, jak udać się pieszo do pobliskiej wioski i tam szukać ratunku.

Kiedy po kilkunastokilometrowej podróży udało im się zatrzymać auto, przejechali kilka kilometrów i znowu do akcji wkroczyła chińska gościnność względem białych ludzi – tym razem zaproszono ich na obiad. Później udało im się złapać ciężarówkę. Mieli nadzieję, że jedzie na granicę – w końcu była na laoskich tablicach – i wydawało im się, że złapali Pana Boga za nogi, a linia sinusoidy już nigdy nie zejdzie w dół. Cel podróży kierowcy był jednak inny.

Kolejnym autem, jakie się zatrzymało, był supersportowy pojazd wart miliony, prowadzony przez pewną kobietę. Samochód z pewnością mógłby rozpędzić się z łatwością do prędkości, w których zwięza się kąt widzenia. Niestety wskazówka prędkościomierza nie przekraczała 40 km/h. W tunelu zwalniali do 20 km/h, wyprzedzały ich nawet przeładowane ciężarówki.

– Klęliśmy w duchu, bo jak można mieć tak dobre auto i jechać tak wolno? Kiedy wysiedliśmy, złapaliśmy pierwszego lepszego taksówkarza i Janek dowiedział się, że dojazd do granicy zajmie 40 minut. Do północy pozostało tylko pół godziny, więc zaproponowaliśmy, że skoro normalnie płaci się 100 juanów za kurs, to my zapłacimy 150, jeśli dowiezie nas w 20 minut. Ku naszej radości, zgodził się! Jechaliśmy 150 km/h rozpadającą się taksówką, większość czasu lewym pasem, wyprzedzając całe kolumny aut. W życiu się tak nie bałam! – wspomina Ola.

Gdy przekroczyli chińską granicę, znaleźli się na ziemi niczyjej. Wokół panowała ciemność i zaczęło im się udzielać zmęczenie; nie bardzo wiedzieli, co dalej. Rozmyślali już nawet o tym, jakie konsekwencje mogłyby ponieść, jeśli rozłożyliby namiot na tym bezpańskim terenie, lecz na szczęście dostrzegli światło i – wbrew wszelkim filmowym hasłom „nie idź w stronę światła” – podążyli w jego kierunku. Okazało się, że była to słuszna decyzja. Na końcu „tunelu” nie było kostuchy, lecz granica laotańska! Przejście graniczne przypominało przydrożny bar, w którym siedzieli

celnicy oglądający tajski boks. W tym momencie sinusoida znów zaczęła biec w dół, bo okazało się, że nie wystarczy wykupić wizy laotańskiej; trzeba jeszcze zapłacić wysoką łapówkę entuzjastom wschodnich sztuk walki. Po przekroczeniu granicy podróżnicy powędrowali prosto w objęcia laotańskiej dżungli, gdzie również spotkało ich mnóstwo przygód.

#### PAPIEROLOGIA I KOSZTY

Cała ta historia jest niesamowita i aż trudno to sobie wyobrazić. Żeby jednak nie było tak kolorowo, skupmy się może na papierologii; wszak chcąc wjechać do Rosji czy państw azjatyckich, w większości przypadków trzeba posiadać wizę. Najdroższą okazała się rosyjska, która kosztowała 450 zł i była ważna tylko przez miesiąc. Wiza do Chin była o 300 zł tańsza, jednak wiązała się z większą ilością problemów do obejścia. By ubiegać się o nią należy mieć zabukowany lot i zarezerwowany hotel.

– Oczywiście jeśli podróżuje się autostopem, to wiadomo, że nie ma żadnego lotu. Musieliśmy więc zarezerwować lot do Pekinu i pokój w hotelu, a później je anulować. Mnóstwo kombinowania, ale oczywiście wszystko da się obejść – śmieje się Ola.

Za wizą do Chin musieli jechać aż do Warszawy, ponieważ tam znajduje się najbliższa ambasada tego kraju.

– Mówi się, że Chińczycy są pracowici, ale w przypadku ambasady zamiast pięciu dni roboczych były tak naprawdę trzy, ponieważ pracują tam tylko w poniedziałki, środy i piątki – żartuje Ola. – Takie opóźnienie nie było nam na rękę, gdyż śpieszyło nam się ze względu na wizę rosyjską, która była ważna tylko miesiąc, a przejechać Rosję to, jak wiadomo, nie takie hop-siup!

Wizę do Laosu, tak jak już było wspomniane, kupili dopiero na granicy laotańskiej wraz z wizą do Indii, na którą przyszło im czekać aż tydzień. Nie mieli za bardzo co robić przez ten czas, więc chodzili na codzienne lekcje gry w bilard.

Jesteście pewnie ciekawi, ile tak długa tułaczka kosztowała naszych bohaterów. Podobno zmieścili się w pięciu tysiącach złotych. Na pytanie, czy to dużo, Ola odpowiada, że takie wspomnienia są bezcenne i nie żałuje ani grosza wydanego na podróżę. ■

*Magdalena Legendziewicz*

# KOLACJA WE DWOJE

## CZYLI PRZEZ ŻOŁĄDEK DO SERCA

Jeśli jeszcze nie zauważyliście sklepowych półek eksplodujących czerwienią, różami, serduszkami i pluszowymi misiami albo nie wiecie, skąd to całe zamieszanie, to chętnie wam podpowiem. Już wkrótce walentynki – święto zakochanych, które co roku wywołuje wśród społeczeństwa niemałe poruszenie. Przez jednych znienawidzone, przez innych wyczekiwane cały rok. Jest ono tematem niejednej dyskusji, ale mimo kontrowersji, jakie budzi, nie o nim będzie mowa. Dziś przeczytacie o czymś znacznie przyjemniejszym niż miłość... O jedzeniu.

Myślę, że każdy z nas przynajmniej raz w życiu słyszał, że najkrótsza droga do serca prowadzi przez żołądek. Pełny brzuch to szczęśliwy brzuch i spokojny umysł, czego niezbitym dowodem jest piramida potrzeb Masłowa. Fundamenty tworzą potrzeby fizjologiczne – a w tym i jedzenie – które uznawane są za podstawowe wymagania człowieka. Jedynie po ich zaspokojeniu możemy wejść na wyższe poziomy i dopiero wtedy przychodzi czas na miłość. W związku z tym, moja jedyna rada dotycząca nadchodzącego święta zakochanych, może niezbyt oryginalna, ale z pewnością naukowo uzasadniona, brzmi: gotuj!

Nie każdy dokonuje cudów w kuchni czy sprawnie włada nożem, ale prawda jest taka, że są rzeczy, które można łatwo przyswoić, nie wywołując przy okazji pożaru w mieszkaniu czy powodzi u sąsiadów na dole. Nikt nie rodzi się z umiejętnością robienia sufletu, czy sosu holenderskiego, ale każdy jest w stanie się tego nauczyć. Zawsze zaczynamy od podstaw; powoli wzbogacamy swoje menu i wyciągamy wnioski z każdej porażki. Należy pamiętać, że nie wszystko wychodzi od razu, a nawet najlepszy kucharz potrafi czasem przesolić zupę.

Od czego zacząć? Internet jest szybkim i nieskończonym źródłem inspiracji. Znajdziesz tam przepisy na proste, ale eleganckie śniadanie, które możesz zaserwować jej do łóżka, słodkie, czekoladowe ciasto, którym podbijesz jego serce, albo kolorowe drinki, które umilą wam wieczór. Pomysłów jest tyle, że każdy wybierze coś dla siebie.

Jednak jest pewne danie i pewna scena, którą zna chyba każdy z nas i która od razu przychodzi mi do głowy, gdy myślę o jedzeniu i walentynkach. Wy-

świecie makaronu z pomidorami. Jeżeli chcesz spróbować swoich sił, to proponuję szybkie zakupy i zabranie się do gotowania.



FOT. MAGDALENA LEGENDZIEWICZ

### SKŁADNIKI

- olej
- 2 ząbki czosnku
- pomidory w puszcze
- makaron
- sól, pieprz
- suszone zioła (bazylija, cząber, oregano)
- ostra papryka
- ser żółty

### PRZYGOTOWANIE

Zacznij od wrzucenia makaronu do posolonej, gotującej się wody, trzymając się zasady: jeden kubek nieugotowanego makaronu to jedna porcja. Sprawdź na opakowaniu czas gotowania i pamiętaj o tym, by co kilka minut zamieszać w garnku, bo nikt nie lubi makaronowej papki. W międzyczasie na rozgrzany olej wrzuć drobno pokrojony czosnek i zaczekaj, aż lekko się przyrumieni – wtedy dodaj pomidory. Posyp delikatnie solą, pieprzem i wybranymi przyprawami. W trakcie doprawiania często próbuj sosu, bo lepiej później dosolić, niż od razu przesolić. Zaufaj instynktowi – w końcu ty sam wiesz najlepiej, jaki smak chcesz osiągnąć. Daj pomidorom trochę odparować, a kiedy makaron się ugotuje, przełóż go na patelnię i pozwól wchłonąć pomidorowy sos. Następnie dodaj starty ser, zamieszaj i gotowe!

Jesteś już prawdziwym kucharzem, a samodzielnie przygotowane danie z pewnością miło zaskoczy twoją walentynkę. Powodzenia! ■

googlujcie sobie hasło *Zakochany Kundel*, a z pewnością zrozumiecie, o czym mówię. Walt Disney udowadnia w tym filmie, że dobre spaghetti może połączyć dwie, pozornie odległe sobie dusze. Scena, w której główni bohaterowie – cocker spaniel imieniem Lucy i kundel Tramp – zjadają tę samą nitkę makaronu, co kończy się krępującym całusem, jest filmowym klasykiem.

Właśnie dlatego dziś zaczniemy od podstaw, czyli od najprostszego na

Petronela Pawlisz

# SZEWSKA PASJA

**Mówią, że szewc bez butów chodzi.**

**Mówią też, że biegły jest w wulgaryzmach.**

**Nie mówią jednak o tym, że może w nim drzemać dusza artysty, i to rzeźbiarza. Niesłusznie!**

Witryna lokalu nr 9 przy ulicy Łokietka we Wrocławiu wcale nie wskazuje, że właśnie w tym miejscu można oddać do naprawy swoje obuwie... Chyba że zajmą się nim drewniane skrzaty, nimfy leśne i wszyscy święci, którzy spoglądają na przechodnia nieco tajemniczo i wyczekująco.

Gdy w pewne grudniowe popołudnie nasze spojrzenia, tj. moje i jednego z wystawowych krasnali, spotkały się, było już przesądzone, że zamiast wracać prędko do domu (bo było zimno i padało), zabawię na Nadodrze chwilę dłużej. Nacisnęłam klamkę i przestąpiłam próg starego zakładu szewskiego, w którym, przynajmniej na pierwszy rzut oka, prym wiodły krasnoludki...

Po wejściu do środka nie odczułam znacznej zmiany temperatury – w pomieszczeniu było zimno i dosyć ciemno. Jedynym źródłem światła znajdowało się za wysokim kontuarem. Tam, pochylony nad narzędziami, pracował wysokiej postury starszy pan; jak się zaraz okazało – sam właściciel, pan Zygmunt Trąbczyński.

– Dzień dobry, słucham panią?

Szelmowski błysk w niebieskim oku i kolorowa czapeczka w południowoamerykańskie wzory podpowiedziały mi, że mam do czynienia z barwną osobistością. Natychmiast wyjaśniłam, że nie przyszedłam do niego w obuwniczym interesie. Jako dziecku sieciówek nie zdarzyło mi się zamawiać odzieży na miarę, a tym bardziej butów. Zaintrygowały mnie natomiast drewniane postaci z witryny. Pan Zygmunt uśmiechnął się szeroko.

– Będę miał zajęcia na jutro – powiedział, odkładając na bok szarego botka, którym właśnie się zajmował. – Bucik ten już tyle doświadczył, że jeszcze jeden dzień go nie zbawi – wyjaśnił, wskazując dziurę w podeszwie prawie

na wylot.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem nad rzeczonym bucikiem.

– A tamta pani i tak po niego przychodzi dopiero za dwa dni. Dużo czasu. Ja lepiej pani teraz wszystko pokażę. Bo widzi pani, ja tak sobie właśnie rzeźbię.

Pan Zygmunt zamasyście wstał i z górnej półki regału ściągnął półmetrową drewnianą dziewczynę. Jak się zaraz okazało – leśną nimfę w zwiewnej

jeszcze nie do końca rozgarniętej.

– No tak! A jak inaczej? Tutaj pani potrzyma jeszcze drugą dziewczynkę – ledwo odstawiłam pierwszą rzeźbę, już łapałam kolejną. – Widzi pani, taka ciężka! To z gruszy. Twarde to drzewo, że ho, ho. A dźwięki jakie wydaje – pan Zygmunt uderzył kilka razy w podstawę rzeźby.

– Jak metal – zdążyłam tylko pokiwać znowu głową, bo szykowało mi się do trzymania kolejne cacko.

– Pani popatrz, tu jeszcze mam taki stroik!

Ani się obejrzałam, już dźwigałam masywny... Majstersztyk! Była to płatanina drewnianych gałęzi, liści i kwiatów, na których przysiadło, na pierwszy rzut oka, z pół tuzina ptaków. Każdy listek inaczej wygięty, każdy kwiatek o innej liczbie płatków, każdy ptaszek w innej pozycji. Nie zdążyłam się natrzeć, bo pan Zygmunt już – już kierował się w stronę zaplecza.

– Ale to jeszcze nic – rzucił zza drzwi. – Niech pani podejdzie tutaj!

Jak się okazało, rzeźby w pierwszym pomieszczeniu stanowiły jedynie przedsmak całej rzeźbiarskiej kolekcji. Na zapleczu szafa ugięła się od drewnianych postaci świętych o poważnych twarzach i krasnali o licach już mniej dostojnych. Wśród nich przewijali się również groźni leśniczy ze strzelbą i ogarami u boku, a także eteryczne panienki. Nie zabrakło oczywiście

drewnianego chłopca o niecodziennie długim nosie, który marzył o staniu się prawdziwym dzieckiem. Największą rzeźbę pan Zygmunt wyciągnął na koniec: ludzką piramidę. Na samym jej dole znajdował się mężczyzna (ojciec), na którym wspierała się akrobatka (matka), a na jej plecach siedział chłopiec (synek), grający na flecie poprzecznym.



FOT. ALEKSANDRA PĘDZIWIATR

szacie i z rozwianym włosom. Wokół niej pięło się dumnie kwiecie: po części już kwitnące, po części jeszcze w pąkach. Na co poniektórych gałązkach prezentowały się ptaszki. Wszystko solidne i ciężkie, a zarazem delikatne i lekkie.

– To wszystko jest z jednego kawałka drewna, prawda? – zadałam pytanie godne rzeźbiarskiej nowicjuszki. I to

– To „Szczyt talentu” – uśmiechnął się autor.

Rozległ się dzwonek, klienci przyszedli po odbiór naprawionych butów.

– Widzi pani, ja teraz głównie reperuję. Żelówki, fleki, poszerzam cholewki, o, jak te tutaj kozaki – wskazał jasnobrązową parę na półce. Zaraz też zerknął okiem znawcy na moje buty. – Ale pani to nie musiałbym cholewek poszerzać w żadnych butach. Pani ma dobre nogi.

Ośmielona zdaniem o prawidłowym stanie moich kończyn dolnych, przysiadłam na taborecie przy farelce (w końcu przestały mi drętwieć stopy!) i spytałam o historię szewca-rzeźbiarza.

– Jak to się wszystko zaczęło? Trudno powiedzieć. W rodzinie artystyczny gen krążył chyba od pokoleń. Miałem wujka malarza, na przykład. Pięknie malował! W domu zawsze coś się stroiło, szykowało ładnego. No i mnie to szaleństwo dopadło. Gdy miałem 20 lat, trafiłem do wojska. Raz trochę mi się nudziło na warcie i tym nożykiem, tym właśnie – pan Zygmunt poszperał nieco w pudełku pod oknem i zademonstrował rzeczony przyrząd – zacząłem rzeźbić w kawałku drewna. Szło mi to na początku dość opornie, ale w kilka wart się uwinąłem i tak powstała moja pierwsza rzeźba. A była to dziewczynka, trochę podobna do tych nimf leśnych, co pani pierwsze pokazałem. Z kapeluszem zarzuconym na plecy i wstążką na

szy. Schowałem ją do siennika, bo to inne czasy były, wie pani, na siennikach w wojsku spaliśmy, żeby nikt mi rzeźby nie odebrał. Cóż, trafili się koledzy równie sprytni, co ja, i do siennika mojego zajrzeli. Ktoś ma teraz nietypową pamiątkę z woja, drewnianą panienkę w kapeluszu! A, i też mój zeszyt, w którym spisywałem wojskowe piosenki, zaginął w akcji.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem, chociaż służba wojskowa nigdy mi nie groziła i raczej grozić nie będzie. Spanie na siennikach też mnie ominęło. Przysunęłam się bliżej farelki i słuchałam dalej.

– I tak dwadzieścia lat przerwy, jakoś nie miałem do tego głowy – praca, dom, rodzina. I raz, kiedy sprzątałam na zapleczu, do rąk mi wpadł taki kawałek listwy ozdobnej szafy. Taki frezowany. Podlubałem chwilę i wyszedł mi różanec. Mam go do tej pory.

Jak się okazało, różanec nie miał takiej mocy sprawczej, by pan Zygmunt zajął się rzeźbieniem na stałe. Jego talent na kolejne dwie dekady pozostał w uśpieniu. Wszystko zmieniło się... na straganie w Ziemi Świętej. Czyli podróże rzeczywiście kształcą, a handel w miejscach świętych wcale taki zły nie jest...

– Po zwiedzaniu trafiliśmy oczywiście na stoisko z pamiątkami. I wiadomo, wypadało coś kupić z wycieczki. Żona wybrała takiego kamiennego wielbłąda.

Całkiem mi się podobał, ale oboje stwierdziliśmy, że czegoś mu brakuje. Z otoczeniem, no, z jakąś palmą u boku, wydałby się wiarygodniejszy, jakby go tak postawić na kredensie. A że figurek palm sprzedający nie przewidzieli, znalazłem, już po powrocie do domu, kawałek jałowca i wystrugałem ten „wielbłądzi krajobraz”. Moje dzieło spodobało się żonie od razu. Sam się zdziwiłem, że to tak zgrabnie mi wyszło. I tak to trwa do dziś. Ludzie mówią, że im się podoba, to rzeźbię dalej.

Za słowami pana Zygmunta szły także i czyny. Podczas całej naszej rozmowy strugał w kawałku drewna, który leżał beczynnym na stole. Przed trzema laty to między innymi jego prace stanowiły połowę wystawy na temat historii szewskiego rzemiosła „Szewskie pasje” we wrocławskim Muzeum Etnograficznym.

Pożegnaliśmy się z panem Zygmuntem serdecznie. Obiecałam wrócić niedługo do zakładu szewskiego przy ulicy Łokietka 9. To ciekawy punkt na mapie artystycznego Nadodrza. Choć nie do końca dobrze ogrzewany, to bije od niego ciepło i energia. A właściciel zaprzeczył wszystkim szewskim stereotypom. Na nogach miał holenderskie drewniaki (podobno niesamowicie wygodne) i nie przeklął ani razu. Szewską pasją zaś okazała się sztuka. ■

*Aleksandra Pędziwiatr*

## PIENIĄDZE OKIEM WSPÓŁCZESNEGO STUDENTA

**Jaki jest stereotypowy student? Głodny, zaspany i przede wszystkim – biedny. Żywi się chlebem posmarowanym nożem, parówki gotuje w czajniku, kładzie się spać o świcie, wstaje o zmierzchu, imprezuje całą noc, a do egzaminów uczy się dzień wcześniej. Teraz spójrz wokół siebie i pomyśl – ile w tym prawdy? Niewiele. Coraz częściej spotkać możemy studentów, którym daleko do powyższego obrazu – są dobrze ubrani, przedsiębiorczy, niczego sobie nie żałują, a na uczelnię podjeżdżają świeżo wypolerowanym mercedesem. Skąd współcześnie taka zmiana?**

W dzisiejszych czasach nie ulega wątpliwości, że studiowanie nie jest już zjawiskiem niszowym, przeznaczonym tylko dla uczniów wyjątkowo inteligentnych i ambitnych, ale stało się ono dostępne dla każdego. Ludziom młodym wpaja się, że na studia powinni iść w celu zdobycia stopnia magistra, który uznawany jest obecnie za przepustkę do lepszej, dobrze płatnej pracy. Jeszcze 30-40 lat temu na opłacenie kosztów

studiowania pozwolić mogli sobie nieliczni. W porównaniu do większości z nas nie wynajmowali oni mieszkań ani nie mieli zaawansowanych technologicznie narzędzi i pomocy do nauki. Być może właśnie z braku szerokiej możliwości w przeszłości duża część rodziców chciała dać je swoim dzieciom, by miały w życiu łatwiej i rozwijały się, nawet jeśli przez tych parę lat oni sami musieliby zakasać rękawy. Przyznajmy szczerze,

na początku pieniądze nie lecą z nieba, lecz z konta bankowego naszych rodziców. Dlatego aby trochę ich odciążyć, ale również i dla własnej satysfakcji czy wygody, studenci szukają różnych metod pozyskania paru złotych. Nie bez powodu zdobyli oni miano mistrzów oszczędzania!

### ZDERZENIE DWÓCH ŚWIATÓW

Po wyprowadzce z domu każdy człowiek prędzej czy później musi

się usamodzielnąć, co przeważnie oznacza zadbać o grubość swojego portfela. Na początku wydaje się to trudne, bo przecież trzeba zapłacić za jedzenie, rachunki i wyjścia ze znajomymi. Pieniądze dostają nóżki i szybko uciekają, a ty w połowie miesiąca zostajesz z paroma drobnymi w kieszeni. Wtedy albo dzwonisz do rodziców albo, jak to student ma w swojej naturze, kombinujesz.

Jak nauczyć się oszczędzać? Na początek przeanalizuj swoje wydatki, spisując je czy to na kartce, czy w dostępnych aplikacjach na telefon – na co i ile przeznaczyłeś swoich funduszy. Dzięki temu możesz zauważyć pewne tendencje i obszary do ograniczenia. Zanim coś kupisz, przemyśl dwa razy, czy aby na pewno bez tej rzeczy nie możesz się obejść. Polub także promocje w dyskontach, ale nie rób niepotrzebnych zapasów. Przed tym może uratować cię lista zakupów. Najlepiej też płacić gotówką – karty są bardzo zdradliwe, bo nie kontrolujesz, ile dokładnie zostało ci pieniędzy. Zaoszczędzić można na wszystkim – mieszkanie ogrzewaj tylko wtedy, kiedy jest to konieczne, żarówki gaś, obiady jedz w domu, bilety na pociąg kupuj miesiąc wcześniej, a na przyjemności szukaj studenckich zniżek, kuponów i darmowych wydarzeń kulturalnych, których we Wrocławiu nie brakuje. Grosz do grosza i uzbiera się całkiem

ładna suma dodatkowych pieniędzy.

#### STUDENT SAMOWYSTARCZALNY

– Oszczędzanie to nie skąpstwo, lecz racjonalne planowanie i spojrzenie na własne finanse. Dzisiejsi studenci wydają się bardziej świadomi celu odkładania pieniędzy, ponieważ w przyszłości też trzeba się jakoś utrzymać. Zdecydowana większość dorabia, głównie udzielając korepetycji. Część ma stypendia. Studenci radzą sobie, bo muszą, ale wychodzi im to naprawdę nieźle – mówi Kasia, studentka Wydziału Architektury.

W latach 2012-2015 w dwudziestu dziewięciu państwach przeprowadzono badania sytuacji społecznej i ekonomicznej studentów Eurostudent V. Wynika z nich, że w Polsce pracuje 65% wszystkich studentów. Dlaczego? 72% z nich dąży do lepszego standardu życia, a 63% chciałoby zdobyć doświadczenie. Polscy studenci są najbardziej pracowici – tygodniowo 28 godzin przeznaczamy na pracę zarobkową, 21 godzin na zajęcia na uczelni i 13 godzin na samokształcenie. Skutkuje to również wynikami badań źródła dochodów – 57% naszych funduszy zarabiamy sami, 27% dostajemy od rodziców lub partnerów, 12% pochodzi z państwowych źródeł, a 4% z innych. Poważne problemy finansowe ma 14% studentów, co stawia nas w środku stawki europejskiej. Największe kłopoty mają Słoweńcy,

a najmniejsze Holendrzy. Eurostudent opublikował również bardzo oryginalny raport – ile Big Maców może miesięcznie zakupić przeciętny student w zależności od jego przychodów w porównaniu z rówieśnikami w innych państwach. Najwięcej burgerów, bo aż 420-431, mogą nabyć Norwegowie, Szwedzi i Szwajcarzy. Polacy zjedzą ich 209, czyli dwa razy mniej, co plasuje nas w okolicach końca rankingu.

#### BILANS DODATNI

Świat zmierza do przodu, co skutkuje również zmianą studenckiej rzeczywistości. Życie stało się łatwiejsze, ale jednocześnie także trudniejsze. Na pewno wielką zaletą są duże możliwości wyboru kierunku studiów i sposobów zarobku. Uczelnia daje nam również pomocne rozwiązania, jak chociażby samodzielne układanie planu zajęć, dzięki czemu możemy pogodzić studiowanie z pracą. Z drugiej strony, studenci stanowią bardzo liczną grupę, więc i wśród nich konkurencja jest o wiele większa, co może utrudniać zdobycie wymarzonej posady.

Jedno jest jednak pewne – niemała liczba dzisiejszych studentów doskonale umie sobie radzić, jest zdeterminowana, samodzielna, myśli o przyszłości i przetrwa nawet w warunkach finansowego kryzysu. ■

*Paulina Napierata*

## PLANETA X

**Wokół tematu dziewiątej planety od dawna krąży wiele niejasności i spekulacji. Dawniej każdy zapytany: „Czy Układ Słoneczny ma dziewiątą planetę?” odpowiedziałby bez wahania, że oczywiście – jest nią Pluton. Niestety biedny Pluton został zdegradowany – albo wręcz przeciwnie – doceniony i otworzył nową klasę obiektów zwanych karłowatymi planetami. Od tamtego czasu uważa się, że nasz układ planetarny posiada zaledwie osiem planet. Czy na pewno?**

Dziewiątej planety nie zaobserwowano bezpośrednio, co pozostaje największym problemem. Mimo to wykonano wiele symulacji komputerowych, które wskazują na obecność Planety X daleko za orbitą Neptuna. Bardzo ważną wskazówką jest fakt zakrzywienia orbit sześciu ciał Pasu Kuipera, który rozciąga się za orbitą ósmej planety i zawiera niewielkie obiekty, takie jak komety, planetoidy czy planety

karłowate. Naukowcy z Caltech (Politechnika Kalifornijska) opublikowali w styczniu 2016 roku artykuł, w którym opisali dowody na istnienie tej tajemniczej, niezaobserwowanej planety.

#### HISTORIA PLANETY X

W 1781 roku William Herschel odkrył nieznaną wówczas planetę – Urana. 40 lat później inny astronom, Alexis Bouvard, opublikował

tablice, które zawierały obliczone teoretyczne położenia tej planety. Niestety jego obliczenia nie były zgodne z obserwacjami, co sugerowało, że orbita Uranu jest zaburzana przez oddziaływania z inną planetą. To z kolei doprowadziło do wyznaczenia przez dwóch innych niezależnych badaczy położenia tego tajemniczego obiektu i – ostatecznie – odkrycia Neptuna. Niedługo później na podstawie

analizy ruchu Neptuna wywnioskowano, że na jego orbitę również wpływa inna duża planeta. Początkowo oszacowano jej masę na jedenaście mas Ziemi i odległość od Słońca równą około 48 jednostkom astronomicznym i nadano jej imię Hyperion. Uważano jednocześnie, że poszukiwania tej planety są bezsensowne, dopóki nie zdobędzie się więcej wiedzy na temat Neptuna. Dziewiątej planety wytrwale poszukiwał Percival Lowell; to on zaproponował też nazwę „Planeta X”, co miało podkreślać trudności z jej odnalezieniem. Późniejsze obserwacje doprowadziły w 1930 roku do odkrycia nie Planety X, ale Plutona – szybko bowiem okazało się, że Pluton jest zbyt mały, aby znacząco wpływać na orbitę Neptuna. Zagadkę pomogła rozwiązać bezzałogowa sonda Voyager 2: masa Neptuna okazała się o 0,5% przeszacowana. Po uwzględnieniu nowych danych zaburzenia planety względem obliczeń zniknęły, a więc uznano, że Planeta X nie istnieje.

#### WSKAZÓWKA 1. – KLIF KUIPERA

Jedną z ważnych przesłanek za istnieniem obiektu o dużej masie daleko za orbitą Neptuna jest tzw. klif Kuipera. W latach 90. ubiegłego wieku okazało się, że Pluton jest jednym z wielu przykładów ciał należących do grupy obiektów transneptunowych. Tworzą one

zewewnętrzny pas skalno-lodowych planetoid (Pas Kuipera) oraz dysk rozproszony. Znajdują się tam także inne plutoidy, np. Eris. Okazuje się jednak, że ich liczba drastycznie spada w odległości około 90 j.a. – właśnie to nazywa się klifem Kuipera. Taka ostra granica powstała także w pasie planetoid między Marsem a Jowiszem (tzw. przerwy Kirkwooda) i jest spowodowana grawitacją Jowisza. Prawdopodobnym źródłem powstania klifu Kuipera może być zatem masywny obiekt krążący dalej w pasie Kuipera.

#### WSKAZÓWKA 2. – OBIEKTY OBŁOKU OORTA

W 2003 roku została odkryta Sedna – duża planetoida transneptunowa. Krąży ona po ekscentrycznej orbicie, a jej peryhelium znajduje się poza pasem Kuipera, a więc jest przedstawicielką obiektów Obłoku Oorta. W 2012 roku zaobserwowano drugi podobny obiekt, nazwany 2012VP113, który – jak się okazało – krąży po podobnej orbicie. Za powód istnienia tych nietypowych kształtów orbit obydwu ciał uznaje się hipotetyczną dziewiątą planetę o dużej masie. Sugeruje się także, że komety długookresowe pochodzą z pewnego pasa na niebie, ponieważ mogą być wyrzucane z pierwotnych orbit przez grawitację dużego nieodkrytego obiektu.

TEORETYCZNA DZIEWIĄTA PLANETA  
Na podstawie obliczeń i symulacji oszacowano charakterystykę Planety X. Wydaje się, że musi mieć masę rzędu dziesięciu mas Ziemi, a jej okres obiegu wokół Słońca wynosi około dwudziestu tysięcy lat. Przewidywana orbita ma kształt elipsy, której peryhelium znajduje się między 200 a 350 j.a. od Słońca, natomiast aphelium – między 500 a 1200 j.a. Należy jednak pamiętać, że są to rozważania teoretyczne – żadne obserwacje nie potwierdziły tych idei. Dziewiąta Planeta pozostaje zagadką. ■

Joanna Maria Więckowska

**Jednostka astronomiczna (j.a.)** – średnia odległość Ziemi od Słońca, czyli 149 597 870 700 m.

**Obiekty transneptunowe** – planetoidy o orbitach znajdujących się za orbitą Neptuna.

**Plutoidy** – obiekty wystarczająco masywne, aby mieć kształt bliski kulistemu.

**Peryhelium** – miejsce na orbicie ciała niebieskiego, w którym znajduje się ono najbliżej Słońca.

**Aphelium** – miejsce na orbicie ciała niebieskiego, w którym znajduje się ono najdalej od Słońca.

## „DOBRZE JEST POKAZAĆ, ŻE ISTNIEJE TROCHĘ INNE PODEJŚCIE” WYWIAD Z MICHAŁEM JELONKIEM

Przez większą część roku – zwierzę sceniczne. W trakcie zimowej trasy koncertowej – „Czorny Mikołaj”. Niezmiennie, od wielu lat – muzyk współpracujący z dziesiątkami artystów. Michał Jelonek, najbardziej rozpoznawalny rogaty skrzypek, opowiada o muzyce, ewolucji języka i... metalowych jasełkach.

**Aleksandra Palecka: Gra Pan dzisiaj kolejny koncert we Wrocławiu...**

**Michał Jelonek:** Dzisiaj kolejny? Nie, dzisiaj pierwszy.

**Ale kolejny we Wrocławiu. W tamtym roku był Pan na Majówce, jeszcze wcześniej na Juwenaliach, w Starym Klasztorze też już Pan grywał. Lubi Pan to miejsce?**

Tak, bardzo lubię zwłaszcza tę winę, którą tu mają. (śmiech)

**A miasto?**

Jest świetne. Wrocław jest bardzo fajny, bardzo rozbawiony, dzięki temu, że ma taką atmosferę wśród zabytków, atmosferę przenoszenia się cały czas do średniowiecza. Widać, że ludzie chcą się bawić i podoba mi się to, że Rynek żyje, że to nie jest tylko enklawa turystów. Zawsze wieczorem – znaczy, jak jest ładna pogoda – widzę, że przychodzi dużo wrocławian. I wrocławianek.

**Występuje Pan też często na**

**Woodstocku – zarówno solo, jak i z zespołami.**

Było kiedyś tak, że występowałem rok po roku, w związku z tym właśnie, że zaangażowany jestem w różnych zespołach i projektach. Ale są też momenty, kiedy mam dwa-trzy lata przerwy, kiedy tam nie koncertuję; i bardzo dobrze, bo przecież to mógłby być już przesyt.

**A w przyszłym roku? Wiadomo już, czy będzie można tam Pana znów zobaczyć?**

To wszystko zależy od tego, jakie będzie nastawienie słuchaczy, widzów, no i Jurka.

**Współpracuje Pan z wieloma różnymi artystami i muzykami. Na jakiej podstawie wybiera Pan oferty i projekty, w których bierze udział?**

Nie ma jednego klucza. Czasami jest tak, że po prostu zgłasza się do mnie zespół potrzebujący muzyka sesyjnego, żebym zrobił smyczki. Jestem muzykiem zawodowym, utrzymuję się z tego, więc nie wybrzydzą, że to mi się podoba, a to nie. Chociaż czasami zdarzy się, że mam problem z materiałem, bo nie do końca leży to w moim guście... Natomiast w większości przypadków jest to właśnie na tej zasadzie, że dzwoni do mnie agent czy menadżer zespołu lub sam zespół i chcą, żebym zrobił smyki.

**A jest jakiś typ muzyki, z którym zupełnie Panu nie po drodze i do którego nie nagrałby Pan partii instrumentalnych?**

Podobno nie powinno się mówić słowa „nigdy”, ale jest parę stylów i gatunków, które nie do końca mi leżą... podejrzewam, że bym się w nich nie odnalazł.

**Na przykład?**

Na przykład wiele innych różnych. (śmiech) Wiadomo, że to kwestia gustu i o guście się nie dyskutuje. To, że ktoś jeździ zwykłym samochodem albo wybajerzoną beemwicą, żeby podrywać dziewczyny, to też jest kwestia gustu.

**Chciałabym też spytać o Pana zamiłowanie do języka polskiego. W wielu wywiadach mówił Pan, że uwielbia polską gramatykę i momentami dość... karkołomnie się nią posługuje. (śmiech) Skąd takie zamiłowanie? Zawsze tak było?**

W szkole to zamiłowanie było raczej tępienie przez pewne zasady, natomiast w związku z tym, że częściowo wychowany jestem na punku i na podejściu punkowym, to właśnie łamanie takich zasad leży w mojej naturze. Staram się nie popełniać błędów – oczywiście słowem-kluczem jest tu „staram się”; zdarza się, że je popełniam, ale niektóre są celowe – jakies przeinaczenia, zabawa słowem... Język jest zjawiskiem żywym, cały czas ewoluuje, tak samo jak muzyka cały

czas się rozwija. Gdyby się nie rozwijała, to byśmy non stop chorały gregoriańskie uprawiali albo patyczkami uderzali o drugie patyczki. Tak samo język – czy język polski, czy w ogóle język – też ewoluuje, to wszystko mutuje. Mam wrażenie, że idzie to w stronę skrótów i czasami na przykład wszelkiej modzie i trendom dobrze jest pokazać, że istnieje trochę inne podejście.

**Nie myślał Pan o tym, żeby pisać też teksty do swoich utworów?**



FOT. ANETA MIELCZARKOWSKA

Do niektórych mam napisane, a niektóre moje instrumentalne utwory są przerobione na piosenki i istnieją w różnych innych zespołach.

**Ale na swoich dwóch płytach solowych nie zamieścił Pan żadnego utworu z tekstem.**

Z założenia mój projekt solowy jest instrumentalny. Ale tak jak mówię, nigdy się nie mówi „nigdy”, może coś się kiedyś pojawi. Parę piosenek poppełniłem na Hunterze i to są utwory słowno-muzyczne.

**Dzisiejszy występ odbywa się w ramach zimowej trasy koncertowej. Szczerze mówiąc, nie pamiętam dokładnie jej tytułu...**

Sam nie pamiętam, bo jest dość długi (śmiech).

**Dość długi i ciekawy – jest też przykładem tej zabawy językiem, o której mówiliśmy. To już druga edycja takiego cyklu koncertów.**

W związku z tym, że to jest grudniowa trasa, aż się prosi, żeby nawiązać do Mikołaja, do gór prezentów, do świątecznej atmosfery... A że jesteśmy metalowcami, no to trochę to przeinaczamy, trochę te metalowe

jasełka się robią takie... trzeba to po prostu zobaczyć! Czarny Mikołaj też jest, jest nawiązanie do świąt, do tej świątecznej atmosfery, do nieustającego Last Christmas.

**To już taka świąteczna tradycja? Świecka. Taka świecka nowa tradycja. Jakbym grał koncert w marcu czy kwietniu, to pewnie byśmy jajka zbierali po sali. (śmiech)**

**A kiedy można spodziewać się Pana kolejnej płyty?**

Pracuję nad nią.

**Wiadomo coś więcej na temat terminu premiery...?**

Pracuję nad nią. (śmiech)

**Rozumiem, że to musi wystarczyć. Niedawno płytę wydał zespół Hunter...**

Tak, przy niej też pracowałem.

**Co takiego jest w tym zespole, że tyle lat Pan z nimi współtworzy?**

Nie co jest, tylko czego nie ma. Nie ma skrzypiec. ■

Tytuł trasy, którego nie udało mi się zapamiętać, to: „Chu Chu Chaaa! Chu Chu Chaaa! Naszszsza Zimaaa Złaaa (i okrutnaaa tym razem też) 2” – pisownia oryginalna!

Jeśli ktoś z Was chciałby zobaczyć „Czornego Mikołaja” na scenie, koncerty w ramach zimowej trasy odbędą się jeszcze w ostatni weekend stycznia w Rzeszowie, Krośnie i Lublinie – więcej informacji na profilu facebookowym Jelonka i na jego stronie internetowej [www.jelonek.art.pl](http://www.jelonek.art.pl).

# CIĘŻKIE KOLEĐOWANIE

**Znowu koniec roku, znowu trasa koncertowa ze świątecznymi motywami, znowu Wrocław, ten sam artysta, to samo towarzystwo i ten sam klub. Nudne? Za nic!**

W grudniu już nie po raz pierwszy mieliśmy okazję posłuchać na żywo Jelonka grającego w Starym Klasztorze. Gdy tylko dowiedzieliśmy się z przyjaciółką o koncercie, natychmiast wymieniliśmy znaczące spojrzenia. Wiadomo było, że znów pójdziemy i będziemy bawić się pierwszorzędnie. Wiadomo było, że będzie metalowo, głośno i wesoło.

A skrzypek zaczął... od Vivaldiego. Następnie zaproponował, żeby przytulić najbliższą osobę, i zagrał jeden ze spokojnych utworów. Na chwilę ożywił atmosferę – bo do tej pory tylko część Wrocławia zdążyła usłyszeć, że przy Purkyniego znowu jest impreza – potem znowu zagrał spokojny numer, a nad głowami tłumu pojawiły się... kolorowe baloniki. Brzmi mało metalowo? A kto powiedział, że przy *Czterech porach roku* nie da się pójść

w pogo, a baloniki można odbijać tylko rękami?

I na tym zakończyła się najspokojniejsza część imprezy, potem było tylko: „WROOOOŁAAAW! ROBIMY ŚCIANKĘ?!”. Kolejne „ściany śmierci”, kolejne – po części zarządzane przez Jelonka – niekończące się pogo. Ale było też tańczenie z choinką i z szabłami, metalowe jasełka oraz zestaw kolęd. Nie zabrakło prezentów od Mikołaja dla niegrzecznych chłopców i dziewczynek – w tym dmuchanego jelonka – łamania się waflami, sypania makaronem. Był wężyk (komu przypominają się bale w podstawówce?) i cała sala kucająca, bez wyjątku, po to tylko, by naraz poderwać się do zabawy. Było nawet Last Christmas i Daddy Cool, które w tym roku można było usłyszeć w Polsce na żywo zagrane przez Boney M., ja jednak

i tak wolę Jelonkową wersję. – Zrozumiałem, co znajomi mieli na myśli, mówiąc, że jest nieobliczalny, kiedy zaczął wymachiwać tą choinką – wspominał potem jeden z koncertowiczów. Sama nie wiem, kiedy okazało się, że jest już po imprezie. – Było świetnie, zagrał wszystko, co chciałam: Romantic Revenge, Akka, Wolfred – wyznała inna uczestniczka. Potem pozostało tylko przebić się przez tłum wlewający w gardła zimne piwo, żeby zdobyć kufel dla siebie i czekać na okazję do zrobienia sobie zdjęcia. Jelonek oczywiście nie zawiódł – można było strzelać foty z rekordowo głupimi minami i wziąć autograf, głównie na biletach. A potem resztką sił wrócić do domu, by następnego dnia leczyć zakwasy i czekać z nadzieją na kolejny rok. ■

Anna Raczyńska

## ZAKOCHAJ SIĘ W HISZPANII

**Każdy może pisać. Oczywiście status pisarza należy się przede wszystkim tym, którzy posiadają pewien solidny warsztat oraz staż. Ale przecież szkoda by było zaprzepaścić szansę na naprawdę dobry tekst, kiedy ma się coś ważnego, mądrego bądź interesującego do przekazania. Frapujące historie, nieważne przez kogo napisane, zawsze wciągają.**

Taką powieścią jest *Miasto niebieskich witraży*. To pierwsza część trylogii, poświęconej hiszpańskim miastom (León, Madryt, Barcelona), napisana przez dr Annę Wawrykowicz, wykładowczynię języka hiszpańskiego w Studium Języków Obcych, a także czytelniczkę naszego pisma.

Jednym z bohaterów jest Tomasz – student Wydziału Architektury Politechniki Wrocławskiej. Tytułowe witraże są przedmiotem jego pracy dyplomowej, stąd wiele opisów budownictwa Leónu, dzięki którym czytelnik bez problemu może się poczuć tak, jakby wędrował z nim po hiszpańskiej promenadzie. Takich spacerów jest co niemiara, a tym samym czyni to z lektury najbardziej oryginalny przewodnik. Genezę miejsc, które odwiedza Tomek lub które warto zobaczyć, poznajemy z zasłyszanych przez niego rozmów. Bardzo ciekawym zabiegiem jest również podział narracji na dwóch bohaterów: Tomka oraz Camino, którą bohater poznaje, gdy zapisuje się na prowadzony przez nią kurs hiszpańskiego dla średnio zaawansowanych.

Między postaciami rozwija się nietypowa relacja – sędzę, że przez każdego czytelnika inaczej zinterpretowana – przez co *Miasto niebieskich witraży*



staje się wyjątkową historią o miłości.

Treść książki zyskuje na nieprzeciętności także dzięki wielu odniesieniom językowym (doszukamy się idiomów z języka hiszpańskiego, dotyczących go

dopowiedzeń), historycznym czy kulturowym. Dla przykładu, imię Camino (czyli ‚droga‘), zostało przytoczone w kontekście lektury J.A. Espinosa: „Gdy w najtrudniejszych chwilach podążamy drogą naszego życia, Matka Boska nie opuszcza nas, chroni i daje nam siłę do walki podczas owej wędrówki”. Powieść można potraktować również jako skarbnicę ulubionych zjawisk kulturowych bohaterów; Tomasz systematycznie wypożycza filmy pochodzące z hiszpańskiej kinematografii, np. *Ul*, a córka Camino wspomina między innymi o cyklu książek Elviry Lindo.

Dr Anna Wawrykowicz porywająco oddaje hiszpański klimat, dostarczając nam mnóstwa informacji dotyczących tego kraju, a na dodatek w tle prezentuje nam wiele historii z życia Tomka i Camino. Aż chce się spakować bagaż i wyruszyć do Leónu, by z lekturą w dłoni podziwiać i odkrywać to miasto. Zachęcam do przeczytania i (może nie tylko literackiego) zwiedzania *Miasta niebieskich witraży*. ■

Marta Ulatowska



# OPOWIEŚCI Z KULINARNII

Brownie to mocno czekoladowe, wilgotne, ciężkie ciasto wywodzące się z kuchni amerykańskiej. Jego zaletą jest to, że robi się je szybko i trudno coś w nim zepsuć – z założenia ma wyjść trochę zakalcowate i nieudane, zatem jest idealne również dla tych, którzy w kuchni nie radzą sobie najlepiej. Brownie wspaniale pachnie i niemal rozplywa się w ustach. Przed zbliżającą się sesją duża dawka czekolady poprawi wam nastrój i zmniejszy poziom stresu, a w walentynki będzie idealnym afrodyzjakiem. Jeśli chcecie pomyślnie zdać wszystkie egzaminy lub zauroczyć swoją drugą połówkę, zróbcie je koniecznie.

## BROWNIE Z ORZECHAMI



FOT. PAULINA NAPIERAŁA

### SKŁADNIKI

- 270 g masła
- 250 g gorzkiej czekolady
- 1 szklanka cukru
- 1 małe opakowanie cukru waniliowego
- ½ szklanki mąki
- 3 jajka
- 100 ml wody
- szklanka orzechów włoskich
- szczypta soli

### PRZYGOTOWANIE

W gorącej wodzie rozpuść cukier, cukier waniliowy, sól, połamaną na kawałki czekoladę i masło. Wymieszaj wszystko za pomocą trzepaczki. W innej misce dokładnie roztrzep jajka z mąką. Cały czas mieszając, wlej masę czekoladową do jajek i dorzuc drobno posiekane orzechy włoskie. Formę o wymiarach około 25 x 25 cm wysmaruj masłem lub wyłóż papierem do pieczenia. Przelej na nią ciasto i wyrównaj. Brownie piecz około 25 minut w piekarniku rozgrzanym do 180°C. Po ostudzeniu pokrój klasycznie w kwadraty. Smacznego! ■

*Paulina Napierała*

## ZAGADKI LOGICZNE

ODPOWIEDZI DO ZAGADEK Z POPRZEDNICH NUMERÓW

### OCZKO

Jest tylko jedna metoda, aby trafić oczko:  $21 = 11 + 10$ . Są 4 karty o wartości 11 (asy) i 16 kart o wartości 10 (króle, damy, walety, dziesiątki). Skoro tak, bez tasowania można trafić oczko co najwyżej 4 razy z rzędu. Podobnie jak miesiąc temu, przyda nam się symbol Newtona:  $C(n,k) = n! / (k! (n-k)!)$ .

Szukane prawdopodobieństwa wynoszą:

1.  $4 \cdot 16 : C(52,2) \approx 4,83\%$
2.  $4 \cdot 16 \cdot 3 \cdot 15 : (C(52,2) \cdot C(50,2)) \approx 0,18\%$
3.  $4 \cdot 16 \cdot 3 \cdot 15 \cdot 2 \cdot 14 : (C(52,2) \cdot C(50,2) \cdot C(48,2)) \approx 0,0040\%$
4.  $4 \cdot 16 \cdot 3 \cdot 15 \cdot 2 \cdot 14 \cdot 1 \cdot 13 : (C(52,2) \cdot C(50,2) \cdot C(48,2) \cdot C(46,2)) \approx 0,000055\%$

### POKER

Mamy dwa asy, a jeszcze dwa trzeba wylosować spośród 50 pozostałych kart. Na szczęście dobieramy na stół aż 5 kart, przez co nasze szanse na kolejne asy są większe. Wystarczy wylosować dwa pozostałe asy i trzy dowolne inne karty.

$$C(2,2) \cdot C(48,3) : C(50,5) \approx 0,82\%$$

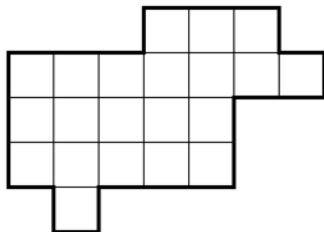
Załóżmy, że będziemy mieli kareta asów. Jakie są szanse, że przeciwnik złoży pokera? Karty muszą być w kolorze i po kolei, a as może zacząć serię (A-10) lub zakończyć (5-A). Ze strony przeciwnika wygląda to tak, że na stole leżą dwa asy i trzy inne karty, a w ręku ma jeszcze dwie i musi z tego stworzyć pokera. Jeżeli użyje do pokera któregoś z asów, to jedna z pozostałych pięciu kart nie zostanie użyta, czyli może być dowolna (jedna z 44 pozostałych), ale ograniczy się do dwóch kolorów. Jeżeli jednak nie użyje asów, to zostają mu układy od Q-8 do 7-3, w sumie sześć. Zauważmy, że układy K-9 i 6-2 mogą wystąpić przy okazji występowania układów z asem (te przypadki już wliczyliśmy) albo samodzielnie – gdy kolor jest inny niż kolory asów ze stołu.

$$(2 \cdot 44 + 2 \cdot 1 + 4 \cdot 6 + 2 \cdot 1 + 2 \cdot 44) : C(48,5) \approx 0,0093\%$$

Wygląda na to, że z kareta asów nasze zwycięstwo jest prawie niezagrożone. Oczywiście, świat widział różne przypadki...

## NOWE ZAGADKI

Zapraszam do zmierzenia się z zagadkami, jakie czekały na uczestników ubiegłorocznej edycji Matematycznych Pojedynków, które odbyły się 26 listopada 2016 roku na naszej Uczelni. Może warto spróbować swoich sił w nowym roku? Czasu na przygotowania jest dużo!



1. Podziel figurę na trzy identyczne części. Części mogą być odbiciami lustrzanymi.
2. Znajdź kilka kolejnych liczb naturalnych, których suma jest równa 100. Podaj wszystkie rozwiązania. Uwaga: według słownika języka polskiego słowo kilka to liczebnik nieokreślony oznaczający liczbę od trzech do dziewięciu. Taką definicję zastosuj w powyższym zadaniu.

## SUDOKU

|   |   |   |   |   |   |   |   |   |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
|   | 6 |   |   |   |   |   |   |   |
|   |   | 1 |   | 9 |   |   | 8 |   |
|   | 2 | 8 |   | 3 |   | 7 |   | 1 |
|   | 1 |   |   | 7 | 4 |   |   | 6 |
|   |   | 4 |   |   |   | 2 |   |   |
| 2 |   |   | 6 | 8 |   |   |   | 5 |
| 3 |   | 9 |   | 2 |   | 4 | 6 |   |
|   | 5 |   |   | 4 |   | 3 |   |   |
|   |   |   |   |   |   |   | 7 |   |

ALEKSANDRA MIZGAŁA

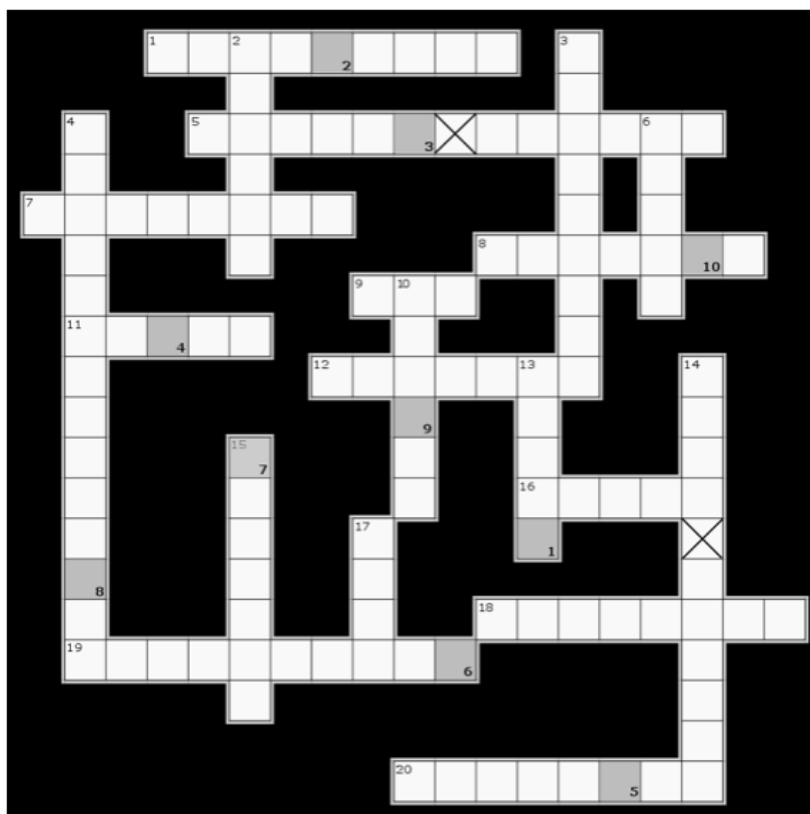
## KRZYŻÓWKA

Pada śnieg, pada śnieg, dzwonią dzwonki sań i... znów mamy zimę. Dla wszystkich fanów tej pory roku, białego szaleństwa i nie tylko – krzyżówka zimowa, idealna do pobudzenia szarych komórek przed sesją. Rozwiązując ją, być może wpadniesz na pomysł, gdzie pojechać na ferie po zdaniu wszystkich egzaminów.

Hasło krzyżówki prześlij na nasz adres [konkurs@zak.pwr.edu.pl](mailto:konkurs@zak.pwr.edu.pl), a my wybierzemy jedną poprawną odpowiedź i nagrodzimy ją. Napisz także koniecznie, który artykuł w bieżącym numerze najbardziej Ci się spodobał. Zatem nie zwlekaj, tylko działaj! Zasady konkursu dostępne są na stronie [www.zak.pwr.wroc.pl](http://www.zak.pwr.wroc.pl).

Miłego główkowania! ■

Małgorzata Napierała



## PIONOWO

2. Arktos.
3. Kulig ekstremalny.
4. Niewolnik parapeku.
6. Powodują krwawe zbarwienie śniegu.
10. Austriacka trasa narciarska nieustraszonych.
13. Zwą je boazerią.
14. Szumi jak tabletki musujące w wodzie.
15. Miasto narciarskiej Golgoty.
17. Podkuwasz wtedy buty.

## POZIOMO

1. Owoc zjazdowy.
5. Ma tyle ramion, ile pajak odnóży.
7. Starożytne łyżwy.
8. Najdłuższa czarno oznakowana trasa narciarska na świecie.
9. Kraj przytłoczony największym płatkem śniegu.
11. Śnieg osiadający na gałęziach drzew i krzewów.
12. Stacanie się w wielkiej miękkiej kuli.
16. Lolobrygida.
18. Inaczej arbuzy śnieg.
19. Marzną tu pingwiny.
20. Ojczyzna skoków narciarskich.

# SPACER PO ŚWIEBODZKIM

MICHALINA KACPERAK

Każdej niedzieli w miejscu dawnej stacji kolejowej przy Dworcu Świebodzkim pojawia się okazja do niezwykłych zakupów. Osobliwe targowisko znane jest każdemu wrocławianinowi, choć jego sława wynika z wielu zarówno pozytywnych, jak i negatywnych opinii. Mimo wyzwań, jakie niesie ze sobą spacer z aparatem pośród niezwykłych straganów, miejsce to jest intrygującym tematem dla fotografa. Niezależnie od kontrowersji towarzyszących targowisku, należy przyznać, iż jest to miejsce wyjątkowe, a dla fotoreportera wręcz ekscytujące.





# WROCŁAW 4 - 5 MARCA 2017

**COMBINAT**  
THE SCIENCE FACTORY

Conference of Modeling  
in Bio and Nano Technology

Konferencja studentów i doktorantów związanych z modelowaniem molekularnym  
... i nie tylko!

Biotechnologia & Inżynieria Biomedyczna & Inżynieria Materiałowa



WYKŁADY



WYSTĄPIENIA  
UCZESTNIKÓW



COMBINACJE

largi projektów kół naukowych



SESJA  
POSTEROWA



COMPREZA

półoficjalna integracja uczestników



WYDAWNICTWO  
POKONFERENCYJNE

Zapisy od 10.01 na [www.combinat.pwr.edu.pl](http://www.combinat.pwr.edu.pl)

**KNOW**

Projekt współfinansowany ze środków  
Krajowego Naukowego Ośrodka Wiedzy (KNOW)  
na lata 2014-2016 dla Wrocławskiego  
Centrum Biotechnologii



Politechnika Wrocław  
Wydział Chemii



WCSS

#THESCIENCEFACTORY